Nr 7 (1570). Warszawa, 18 lutego 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Przed obce forum.

Niedość było widocznie całego bezmiaru kłamstw i złorzeczeń, wyładowanych z klerykalnej puszki Pandory na głowy młodzieży wolnomyślnej, którą skarżono kolejno o konszachty ze wszystkimi wrogami polskości; ostatnio spadł na nią zarzut, że sprawę zatargu swego z prześwietnym senatem jagiellońskim przeniosła do Wiednia „przed obce forum".

Mimo, że takie postawienie kwestji jest aktem złej woli i zaciętości ze strony przeciwników młodzieży — należy mu poświęcić nieco uwagi, bo jest to zwrot poniekąd klasyczny i typowy.

Sprawę zajść krakowskich przed obce forum wytoczyły właściwie obie strony. Tylko, gdy senat uciekł się zrazu do c.-k. policji, a potym do ministra hr. Stürgkh'a, młodzież ze swej strony zwróciła się do społeczeństwa w osobie parlamentarnych jego grup.

Jeśli nasza opinja zachowawcza pośpieszyła pochwalić i poprzeć taktykę senatu, a taktykę młodzieży potępiła z niesłychaną furją — świadczy to wymownie o jej wartości moralnej i politycznej. Niektóre z jej organów uderzają w ton lirycznej prostoty. — Delegacja studentów postępowych — woła *Dziennik Polski* — winna była poprzestać na zabiegach w Kole polskim. Wszak ono „z największą gorliwością sprawą się zaopiekowało" i „z największą gorliwością szuka drogi wyjścia dla studentów możliwie najkorzystniejszej". „Prawda — mityguje się nieco rzeczony organ — z małymi wyjątkami wszyscy posłowie z obozów narodowych... potępili wybryki części młodzieży, ale nie idzie za tym, żeby ta sama opinja nie miała oświadczyć się za pobłażliwością..."

Jakiego rodzaju była „gorliwość" Koła, wnosić można z faktu, że poparło ono bezwzględnie czysto austryjacki ostracyzm, zastosowany do naszej młodzieży przez ministra hr. Stürghk'a, któremu nadto ze swej strony 75 profesorów krakowskich przesłało adres dziękczynny! Zatym, istotnie, Koło „zaopiekowało się gorliwie" — ale jaką sprawą? Sprawą ministra Stürghk'a i ks. Zimmermanna, który, jak teraz wiadomo, jest jego pośrednią kreaturą, bowiem stworzenie katedry „socjologji chrześcijańskiej" w Krakowie leżało w programie i planie austryjackiego męża stanu...

* * *

O tym się u nas nie mówi. Prasa klerykalna wzięła na kieł i poniosła.

— *Przed obce forum!* Najgłośniej brzmi dyszkant oburzenia tych, którymi rządzi rzymska batuta i tych, co najukładniej na dworskich zwykli stawać posadzkach.

Z naiwnością, któraby mogła wycisnąć łzy rozczulenia, gdyby nie była pozorną, pisze *Kurier Poznański*: „Galicja dąży do tego, aby wyemancypować się jak najbardziej z pod wpływów centralistyczno-niemieckich i uzyskać stopniowo autonomję kraju, tymczasem część młodzieży polskiej przeszkadza temu (!), uciekając się do interwencji obcej w sprawie, która powinna załatwić się autonomicznie, wewnątrz kraju".

Takiemu „załatwieniu" sprawy oparł się właśnie senat akademicki, który jeszcze w listopadzie, w pierwszej fazie zaburzeń, nie wahał się wezwać siły zbrojnej dla uśmierzenia malkontentów, a potym pośpieszył zamknąć uniwersytet, powodując bezpośrednią już interwencję ministra oświaty. Nie ulega wcale wątpliwości, że wobec wyraźnych dążeń pojednawczych młodzieży, giest pobłażania i łagodności ze strony senatu uśmierzył by wzburzone umysły; ale tego giestu senat nie uczynił; przeciwnie, postępowanie jego „miało wszelkie pozory prowokacji", jak mówi *Kurjer Warszaw-*

ski, niepodejrzany chyba o sympatję dla ruchów postępowych.

Te „wszelkie pozory prowokacji" ze strony prześwietnego senatu stanowią rys dominujący całej sprawy.

* * *

Nie młodzież wolnomyślna pozywa „ojców" narodu *przed obce forum*, jeno ci ostatni zanoszą tam miazmaty własnej niesławy.

Bo kiedy niewinność prostacza sądzi, że oni „chcą uzyskać stopniowo autonomję kraju i wyzwolić się z pod wpływów centralistyczno-niemieckich" — cóż czynią w istocie rządzące w Galicji sfery? Czynią wszystko, co mogą, by *sprawę naszej odrębności odrzeć z uroku* i nawzajem — urok „obcego forum" *stokrotnie wywyższyć*.

Wszczepiona odwiecznym nałogiem, żywiołowa i organiczna niechęć tych sfer wobec reform demokratycznych spowodowała to, że w czasie walki o powszechne prawo wyborcze nadzieje ludu polskiego szły ku Wiedniowi — i Wiedeń ziścił te nadzieje!

Do dziś dnia obowiązuje w Galicji system wyborczy do Sejmu, który jest dziwolągiem naszych czasów; potężne koterje zachowawcze grzebią każdy projekt reformy, czym wytwarzają taki stosunek mas ludowych do tej najwyższej krajowej instancji, że znów najdonioślejsze swe postulaty musi ogół polski zanosić *przed obce forum*, na trybunę wiedeńskiej Rady Państwa, bo tam jedynie ma głos nieskrępowany, a tu — ziomkowie usta mu zamykają ..

Bezmyślna metoda rygoru wobec Rusinów, stosowana głównie przez tępą szlachtę podolską, a podsycana doktryną endecji — zmusza pokrewny nam szczep do szukania sobie orędowników *na obcym forum* — nad Dunajem gdzie dość chętny znajdują posłuch i nad Newą, gdzie z otwartymi przyjęto ich ramionami.

I tak oto zachowawcy galicyjscy „chcą autonomji" — a czynią wszystko, by ją ogółowi obmierzić, by istniejące krajowe instytucje zdegradować, urobić odpowiednio do swych koteryjnych celów, otoczyć chińskim murem przywilejów i niechęcią rozgoryczonego ludu — i młodzieży, która przybywa zza kordonu ze szczerym zapałem, z gorącym pietyzmem dla prastarych ścian Wszechnicy, a wszedłszy do środka, zastaje na miejscu honorowym rozpartą bezczelnie — „Moją Babę"...

Konserwatywni „ojcowie narodu" sami snują się chętnie po przedpokojach wiedeńskich, tuzinami wiszą u każdej ministerjalnej klamki, najmniejszy nagniotek demonstrują przed „obcym forum" — ale niech ta młódź studencka, którą częstuje się w Krakowie jakimś ohydnym surogatem „socjologji", i która w odpowiedzi na protest słyszy pruskie, po polsku wyrzeczone, *ausrotten*! — niech ona spróbuje zgłosić się do wyższej instancji po naprawienie swej krzywdy — wnet zgłuszy ją, przywali i unicestwi lawina wrzasków potwarczych: — Przed obce forum!!!

* * *

Nie lepsze panują stosunki u nas, w Królestwie, i na kresach wschodnich. Raczej przeciwnie. Toć nieraz polskie szkolnictwo, gnębione metodyczną kampanją kleru, szukać musi sprawiedliwości na *obcym forum* — i nawet ją znajduje... Toć gdyby wszystkie pobożne donosy i wszystkie manewry świątobliwe wieńczone były powodzeniem — nie byłoby tu ani jednej świeckiej szkoły, ani jednego pisma postępowego... Toć marjawityzm — mniejsza o jego wartość dogmatyczną — zjadliwą, iście kołtuńską nietolerancją wepchnięto na *obce forum*, gdzie życzliwej doznał opieki; toć robotnik polski, wnosząc interpelację do Dumy, nawet nie próbuje zapukać do lokalu Koła, lecz idzie prosto na *obce forum* — do rosyjskiej skrajnej lewicy!

A ci, którzy od nas odpychają ogół żydowski ustawicznym wierzganiem i słowami, gorszymi od

---

AUGUST STRINDBERG.

LUDWIK XI.

(Dokończenie).

— Sire, na świętych Pańskich, co się z tobą dzieje? — zawołał doktór.

— Niegodziwcze, — odpowiedział król, — poco zastawiasz pułapki, z których nie można się wydostać?

Jeszcze będąc młodym, sam rozkazał rozstawić te potrzaski, lecz tego, rozumie się, nie można mu było powiedzieć, i doktór zapytał go grzecznie:

— Sire, czyś zdrów? Czemu nie jesteś w Tours? Jak się dostałeś tutaj?

— Nie mogę spać, nie mogę jeść! W ostatnich dniach mieszkałem w Vincennes, w Saint-Paul, w Luwrze, lecz nigdzie nie mogę znaleźć spokoju. Wreszcie postanowiłem przyjechać tutaj, w to jedyne dla mnie miejsce, wiadome tylko mnie i tobie; przyjechałem wczoraj rano. Kiedym uczuł głód i chciałem się stąd oddalić, nie znalazłem wyjścia; przeleżałem tu całą noc i całkiem przemarzłem... Wyprowadź mnie stąd, jestem chory, pomacaj mi puls, czy nie mam gorączki?

Doktór z trudnością odnalazł puls; do tego stopnia był król słaby, lecz powiedzieć tego nie było można.

— Podjem u ciebie, tylko ty umiesz gotować potrawy, wszyscy inni psują je przyprawami, kładą korzenie do wszystkich potraw, a korzenie mają liche. Jakóbie, pomóż mi wyjść stąd, pomóż. Czyś badał gwiazdy dzisiejszej nocy? Czy niema nic nowego na niebie? Napewno zbliża się jakaś kometa, ja zawsze czuję ich zbliżanie.

— Nie, Sire, zbliżenia komety nie widać...

— Jak ty mi hardo odpowiadasz! Czy myślisz, że jestem chory? Może nieuleczalny?

— Nie, Sire, jesteś zupełnie zdrów. Idź teraz za mną, miłościwy panie, przygotuję ci pościel i obiad.

Król wstał i poszedł za doktorem. Ten chciał puścić naprzód monarchę. Lecz monarcha nie dowierzał jedynemu pozostałemu przyjacielowi. Wiedział, że ten go nie lubi, życzy mu śmierci, lecz boi się krzywdę mu wyrządzić.

— Strzeż się ławek, Sire, — upominał doktór — nie zbliżaj się zanadto do żywopłotu, idź środkiem ścieżki.

kopnięć — czyż nie zmuszają go do zbaczania na *obce forum*, skąd dobiegają różne syrenie głosy?...

Na Litwie zaś i Rusi dominujący żywioł szlachecki i klerykalny, czyż nie zwęził, nie obniżył kultury polskiej tak dalece, że przestaje ona promieniować dawnym szlachetnym blaskiem, co nęcił ku sobie i pociągał potężnie wszystkie okoliczne ludy?... Niestety, z bólem trzeba przyznać, że niejeden z naszych braci, zrażony goryczą i zniechęceniem, dostrzega już wyższy polot ducha, silniejszy ton ideału na *obcym forum*, wśród młodej, demokratycznej Rosji...

Parafjańskie ubóstwo myśli, przerost czynników zachowawczych, zanik impulsów twórczych, ciasnota i bezideowość dzisiejszych uznanych naszych przedstawicieli — stanowi groźne niebezpieczeństwo dla polskości.

To niebezpieczeństwo rośnie. Wspomniane sfery działają tak deprymująco na ducha naszej kultury, nadają naszej myśli społecznej i politycznej tak nieponętną postać, — że w niebezpiecznym dla nas zestawieniu niejedno *obce forum* wydać się może, niestety, jaśniejszym i wyższym.

My, wolnomyślni Polacy, chcemy, by było odwrotnie — oto całe nasze przestępstwo wobec narodu.

Jeszcze o strejku na uniwersytecie Jagiellońskim.

Korespondencja „Prawdy".

Niesłychane zarządzenia ministra oświaty Stürgkha, którym senat uniwersytetu jagiellońskiego skwapliwie jest posłuszny, nasuwają szereg uwag ogólnych.

Sprawa strejku młodzieży wolnomyślnej i zamknięcia uniwersytetu ma bowiem znaczenie przerastające nawet te krzywdy, które dla interesowanych z niej wynikną. Przyzywając policję i wojsko zaopatrzone w ostre naboje, odwołując się do ministra oświaty, wyprowadzając przed światowe forum zatarg, który powinien być załatwiony w łonie najwyższej naszej uczelni, zapytać się należało własnego sumienia, czy chęć sklerykowalizowania uniwersytetu nawet dla tych, co szczerze wierzą w jej potrzebę, warta jest narażania na zamknięcie uczelni, którą nawet obcy minister nazwał perłą i skarbem polskiego narodu? Brak uczuć obywatelskich, pomiatanie młodzieżą, o ile ta odważa się mieć własne zdanie, obojętność na obniżenie poziomu naukowego wszechnicy, do której wprowadza się profesora, nazywanego przez własnych kolegów analfabetą, — to wszystko jest ujemnym swiadectwem dla gremjum profesorskiego. Profesorowie uniwersytetu w Berlinie, w znacznej części hakatyści, protestują dotąd przeciw profesurze dr. Bernhardta; profesorowie krakowskiej *almae matris* z rezygnacją przyjęli za kolegę autora „Mojej Baby".

Należało przynajmniej przewidzieć protest ze strony młodzieży. Niewątpliwie sympatyzuje z nim niejeden z jej kierowników, ale nie podniósł się wyraźnie ani jeden głos za pokrzywdzonymi. Na całej linji przeważyła zasada bardzo wątpliwej pedagogicznej wartości, że młodzież winna jest bezwzględne posłuszeństwo. Oburzono się na „gwałcenie wolności słowa". Dziwna wolność! na katedrę uniwersytecką dopuszcza autora trzech broszurek o 40 stronicach, które się roją od błędnych informacji.

Młodzież, wykonawszy swój protest, przyznajemy, że hałaśliwy i nieparlamentarny, a nawet niedozwolony, z dziwną potulnością pozwoliła ks. Zimmermanowi wykładać; sprawa zdawała się uśmierzoną, aż oto padły drakońskie wyroki. Strejk obwołany został wbrew młodzieży klerykalnej i obojętnej na sprawy ogólne, a sprowadzenie policji i wojska nie skłoniły jej do zsolidaryzowania się z odważnymi kolegami. Obóz przeciw strejkowy nie odczuł, że stała się krzywda całej młodzieży przez potraktowanie kilkuset akademików, jako zwykłych przestępców. Do Wiednia udały się dwie deputacje: jedna, aby sprawy strejku bronić, druga, żeby ją zohydzać. A we Lwowie powtórzyło się to samo. W uniwersytecie nietylko profesorowie, ale i akademicy narodowo-demokratyczni sprawdzali legitymacje i czynnie dopomagali policji. Jad nienawiści partyjnej jeszcze głębiej wsiąknął tu w młode serca, bo wszak nie było tam bezpośredniej przyczyny, ani uprzednich kwasów i zaognienia. Wystarczył training narodowo-demokratyczny.

Na ławach uniwersytetu przygotowuje się przeto

— Czyżby twoje ławki mogły same... Przebacz mi, Panie, ułomności moje.

Przeżegnał się.

Kiedy wyszli z ogrodu, król wpadł w wściekłość na wspomnienie tego, co wycierpiał, i zamiast dziękować swemu wybawcy, rzucił się nań z wyrzutami.

— Z twojej łaski zabłądziłem w tym twoim ogrodzie i musiałem spędzić noc pod gołym niebem! Łotr jesteś!

Weszli do laboratorjum; tu było ciepło. Król, bardzo ciekawy, zaraz znalazł receptę, zapomnianą na stole.

— Czym ty się zajmujesz ukradkiem przede mną? Coś tu przepisał, truciznę czy lekarstwo? Olej koperwasowy — trucizna. Amoniak pomaga przy dysenterji, saletra wywołuje szkorbut. Dla kogoś przygotował tę mieszaninę?

— Dla krowy ogrodnika, która się ocieliła — odpowiedział doktór, w którego zamiarach całkiem nie było przedłużać życie swego tyrana.

Król położył się na kanapie.

— Jakóbie, — rzekł — nie odchodź; nie chcę jeść, chcę spać, posiedź koło mnie, już osiem nocy nie zamykam oczu. Lecz zgaś ogień w piecu, nie znoszę tlejących węgli, oczy mnie od tego bolą, i podnieś zasłony. Potrzebuję słońca, inaczej spać nie mogę.

Zdawało się, że zasnął, lecz on wpadł tylko w odrętwienie, trwające nie dłużej jak minutę, poczem podniósł się i całkiem rzeźki i przytomny siadł na posłaniu.

— Dlaczego trzymasz szpaki w ogrodzie, Jakóbie?

— Nie trzymam szpaków,—odparł doktór opryskliwie, lecz ponieważ ty, Sire, słyszysz ich gwizdanie, więc powinny tam być za rozkazem twoim.

— Ty ich nie słyszysz?

— Nie! Cóż oni śpiewają?

— No, o tym ty sam wiesz! Po sromotnym traktacie w Peronnie, kiedy musiałem się poniżyć przed Karolem Burgundzkim, Paryżanie nauczyli swe szpaki krzyczeć: „Péronne!" Czy wiesz, co teraz krzyczą?

Doktór, który już tysiące razy słyszał te oklepane historje, stracił cierpliwość.

— Niepodobna przecie, aby wołały: „Guyenne?" rzekł.

Była to zjadliwa alluzja do bratobójstwa, bo króla podejrzewano o zabójstwo brata, księcia Guyeńskiego.

Król zerwał się z posłania, jakby chciał uderzyć doktora.

— A więc to tak, jeszcze wierzysz tej bajce! Nikogo nie zabijałem! Ale ciebie chciałbym zabić...

pokolenie, które będzie znało przeciwników partyjnych, a wygna z serca i umysłu humanitaryzm i poszanowanie dla obcych przekonań.

Sympatja społeczeństwa nietylko w Krakowie, ale i w całej Galicji, a nawet w prasie wiedeńskiej, jest po stronie strajkującej młodzieży. Wybacza się jej krewkość, a szanuje szlachetne ideologiczne pobudki. Krakowska Rada miejska jednogłosnie powzięła uchwałę, znaną już może z dzienników, którą tu jednak w dosłownym brzmieniu przytaczamy:

„Rada miejska wyrażając żywe ubolewanie z powodu pożałowania godnych wypadków, które zakłóciły normalne życie na Wszechnicy Jagiellońskiej, wyraża przekonanie, iż władza szkolna postąpi wobec ukaranej młodzieży z możliwie największą pobłażliwością i jak dotąd tak i w przyszłości nie będzie utrudniać przystępu do Wszechnicy młodzieży z Królestwa Polskiego, pragnącej rzetelnie kształcić się w uniwersytecie Jagiellońskim.

„Jednocześnie zwraca się Rada miejska do ogółu młodzieży z gorącym wezwaniem, aby świadoma wielkiego znaczenia Jagiellońskiej szkoły dla całego narodu, umożliwiła swoim postępowaniem jak najrychlejsze przywrócenie normalnego toku nauki uniwersyteckiej".

Uchwała ta wraz z poprzednim energicznym wystąpieniem posła Daszyńskiego świadczy, że są u nas na stanowiskach ludzie, którzy mają serce i odwagę swoich przekonań. Ale jakże postąpiło Koło polskie?

Koło polskie wniosło interpelację, ale z góry zrzekło się dyskusji nad odpowiedzią ministra oświaty Stürghka. A przecież znane są klerykalne poglądy tego dostojnika. Wiadomym być musiało naszym posłom, że jeszcze w 1910 r. wyraził on zamiar wprowadzenia katedr chrześcijańskiej socjologji i za pierwszą placówkę, na której próby takiej klerykalizacji uniwersytetów dokonać by można, uznał Kraków. Wypadki obecne przekonały, że o duchu panującym na krakowskim uniwersytecie dobrze był poinformowany. Wprowadziwszy tedy przed forum parlamentu sprawę strejku na uniwersytecie w Krakowie, przy zgodnym ponoś uznaniu, że wyroki senatu były zbyt ostre i niewspółmierne do przekroczeń młodzieży i że niesłusznie oddano sprawę prokuratorji, a nawet wezwano policję, która miała gwałtem odbierać legitymacje, pozwolono teraz ministrowi działać bez kontroli i słowa protestu. Dziś parlament z powodu zamknięcia sesji zimowej przestaje obradować, można więc tylko antichambrować, ale nie można walczyć i jednać sojuszników dla sprawy własnej młodzieży.

Koło polskie wydało ją faktycznie na łup klerykałom. Czy to nie dowód braku odwagi cywilnej owo przystawanie z góry na zarządzenie byle ministra? A i ten minister zawahał by się niewątpliwie, gdyby chodziło o uniwersytet czeski, ale Polacy są potulni, a może i pragną mieć... katedrę socjologji chrześcijańskiej. Wogóle jakim jest zdanie Koła o zajściach krakowskich — nie wiadomo, bo obradowało ono przy drzwiach zamkniętych, gdy wszystkie inne kluby parlamentarne miały odwagę wypowiedzieć głośno zdanie swoje w tej sprawie.

A zatym składamy dowody, że nie stać nas na odwagę cywilną bodaj w wypowiedzeniu swego zdania, że w najważniejszych sprawach nie potrafimy, czy nie chcemy znaleźć się przyzwoicie w Wiedniu, że względy polityki partyjnej przeważają wszystkie inne, a wreszcie, że polityką silnej ręki kierujemy się tylko wobec słabszych i zależnych. Czyż to nie smutne?

W.

Neo-pozytywizm i neo-romantyzm.

W czasach ostatnich z paru stron [1]) przypuszczono „nagły a niespodziewany" atak na kierunek pracy organicznej. Odgrzebano stare, niezmienione nawet w formie zarzuty, przystąpiono do rzekomo bezstronnej oceny z szablonem, przyjętym nieledwie powszechnie w wartościowaniu „haseł pozytywnych", nie dodano ani słowa bodaj nowego. Więc... głębokie ujęcie w rodzaju: „Praca organiczna, jako program, nieodwołalnie zbankrutowała" (Res), „program pracy

---

[1]) Res. „Dzieje ruchu socjalistycznego". Studnicki: „Sprawa Polska".

— Daj spokój, — odparł doktór cynicznie — wiesz przecie, co zawyrokowały gwiazdy: w osiem dni po mojej śmierci — umrzesz i ty!

Król dostał ataku drgawek. Wierzył w tę bajkę, wymyśloną przez Coctiera, celem ochrony swego życia. Lecz kiedy mu ulżyły, znów zaczął gadać:

— Mówią także, żem zabił swego ojca, lecz to kłamstwo! On umarł z głodu, bojąc się, aby go nie otruto...

— Abyś ty go nie otruł. Tyś szczwany lis. Ale wkrótce i twoja wybije godzina.

— Milcz... Wszystko sobie teraz przypominam... Nienawidziłem ojca, tego marnego człowieka, który zalał Francję Anglikami i wydał im Dziewicę Orleańską, która go była ocaliła! Nienawidziłem swego ojca, który zdradził matkę moją dla Agnieszki Sorel i oddał kochance wychowanie swych ślubnych dzieci. Kiedy on rzucił całe państwo na pastwę losu, ja wraz z dworzanami wziąłem na siebie troskę o dobro kraju. I toście wy nazwali buntem. Ależ buntu nie było, to kłamstwo!

— Posłuchaj, — przerwał mu doktór — jeśli się chcesz spowiadać, to poślij po swego spowiednika!

— Ja się nie spowiadam przed tobą, ja się usprawiedliwiam.

— Któż cię oskarża? Własne sumienie?

— Nie, sumienie moje spokojne, lecz oskarżają mnie niesłusznie.

— Lecz któż cię oskarża? Szpaki?

— Moja żona, moje dzieci oskarżają mnie. Patrzeć nie mogą na mnie.

— Nic dziwnego... Wsadziłeś je do Amboise, a więc nie mogą na ciebie patrzeć... Zresztą, nie chcą tego.

— Czegóż ja, syn króla Karola VII, wysłuchiwać nie muszę od jakiegoś tam znachora! Zresztą, zawsze lubiłem gmin. Olivier, cyrulik, był moim przyjacielem...

— A kat Tristan był twoim kumem.

— Był on głównym rakarzem!

— Krawiec został rycerzem pancernym.

— A olejkarz kanclerzem! Bądź mi wdzięczny za to i chwal mnie, niewdzięczniku, żem się ujął za tobą przed szlachtą i na uwadze miał tylko zasługi.

— Okupiłeś tym dużo...

W owej chwili ukazał się we drzwiach człowiek z czapką w ręku.

— Kto tam? — krzyknął król. — Czy nie morderca?

— Nie, jam ogrodnik — odpowiedział przybyły.

— A — tyś ogrodnik! Twoja krowa podobno się ocieliła?

organicznej był ideologją geszefciarstwa, sobkostwa i był złota czcicielem" (Studnicki), ujęcie konstruowane ad hoc dla tym lepszego uwydatnienia wartości własnych haseł, zastąpić ma tu ocenę rzeczową, opartą na dokładnym ludzi i stosunków zbadaniu tak historycznym jak i dogmatycznym. Ze stanowczością, godną lepszej sprawy, głosi się absolutne *przeżycie* już pozytywizmu — jako hasła społecznego; jego znaczenie lub owszem szkodę ocenia się „sub specie" dzisiejszej chwili w doświadczenia o dziesiątki lat starszej. Nagonce tej na rolę organiczną ze strony niektórych grup politycznych i publicystów brak argumentacji i przeświadczenia o słuszności walki; pobieżny rzut oka choćby na współczesne stosunki na ziemiach polskich. stosunki gospodarcze i kulturalne, dając wszak wytyczną w ocenie rzekomego bankructwa haseł organicznych, daje bowiem pewność smutną, niemniej niewątpliwą, że u nas najistotniejsze, najbardziej pierwiastkowe postulaty programu lat po 63 r. są *niewypełnione* jeszcze w wielu względach, że już nie o rozwój wartości istniejących jedynie chodzi, ale o *stworzenie* ich dopiero, o powołanie do życia całego szeregu instytucji i organizacji, których dotąd u nas niema, a które winny być oddawna.

Wprawdzie p. Studnicki przyznaje, że „niema społeczeństwa, któreby nie pracowało organicznie, bo organiczna praca dla społeczeństwa jest toż samo, co dla jednostki funkcja oddychania", ale to nie przeszkadza zaraz potem stwierdzić, że dzięki organicznikom „zapanował prąd wierzący, że rozwój dziejowy usunie wszelkie krzywdy i klęski", że jednak rozwój ten nie miał być rezultatem *naszych wysiłków*, walki, czynu, lecz *jakiegoś* (!) „organicznego wzrastania humanitarnych i materjalnych czynników", co prowadziło w tej mierze do zasady: „Rozwój dziejowy wszystko zrobi, idź spać filistrze!"

W tych paru cytatach jest dostateczny materjał dla oceny argumentów, jakimi walczy się przeciw hasłom pozytywnym, jest zaznaczone jasno stanowisko człowieka, który wpatrzony w hasło *bezpośredniej* realizacji naszego dziejowego rozwoju, inaczej państwowości własnej, nie uznaje nawet w *przeszłości* tej ideologji społecznej i narodowej, która obrała ku temu drogę wtórą, *pośrednią*, drogę wewnętrznego wzmagania się w siły gospodarcze i kulturalne. Ruch warszawskich pozytywistów nie ignorował bynajmniej, jak to twierdzi Studnicki za wielu innymi — w tej mierze warunków *politycznych*, nie uznawał ich „jako raz na zawsze danych, od woli naszej niezależnych, jak klimat kraju, do którego przystosować się trzeba", ale uznał rację, czy konsekwencję wypadków i *położenia* politycznego chwili dla nas historycznej, obliczył możliwości wszelkie, przeważające za dalszą kontynuacją lub owszem zerwaniem na czas pewien z metodą i taktyką lat przed 63 r. i po rozważeniu doszedł do wyniku, chyba warunkami zewnętrznymi aż nadto umotywowanego, — do propagowania haseł i czynów *zawsze* i bez względu na warunki zewnętrzne żywych i *istotnych*, do haseł wewnętrznego „organicznego" rozwoju w szerz i głąb. To zupełnie co innego, niż *abdykacja*... z praw politycznych, z pretensji prawnopaństwowych, to tylko pójście drogą warunkami i koniecznością wskazaną, tą drogą, która zawsze jest i będzie niezbędnym czynnikiem rozwoju w narodzie, nawet politycznie samodzielnym.

W latach po 63 r. mieliśmy tyle pól pracy, nieużytkiem leżącej, tyle stwarzań, zaczynów, leczeń i popraw, że wielki pozytywista mógł śmiało oddać stan ten w słowach, że „szczęście ogółu nie jest *bezwzględnie* zależne od jego siły i samodzielności politycznej, lecz od możności uczestniczenia w cywilizacji powszechnej i posuwaniu *własnej*". (Świętochowski). Od czasu tego zmieniło się wiele w Polsce; przeżyliśmy chwile już zbliżone wielce do owej samodzielności politycznej przynajmniej w granicach europejskiego konstytucjonalizmu i przeżyliśmy chwile odległe od niej o wieki całe, chwile, w których nawet „organicznie" trudno było pracować, zostało jednak zawsze jedno, jedyne: owo własnej cywilizacji *narodowej*, mimo walki i przeszkody—*posuwanie*, które intensywnością mogło rosnąć lub słabnąć w miarę warunków zewnętrznych, które jednak zaniknąć nie mogło nawet w momentach najbardziej krytycznych i zawodnych.

W każdej sferze życia jednostkowego i zbiorowego zakreślać można i trzeba *dwojakie* cele, bliższe i dalsze, nieskończone i „skończone". Jest to zasadą raczej dynamiki społecznej, żądającej od każdego z nas i od narodu, jako całości wciąż nowych zapoczątkowań, zasadą, która bynajmniej nie zarzuca w zacisze „relikwji po matce" i „kółka domowego" ideałów i dążeń dalszych, zakreślonych na metę dłuższą, głębszą.

Pozytywizm po 63 r. nie był *anti* lub *a*-narodo-

Coctier zbladł, kiedy ogrodnik odpowiedział:

— Ja nie mam krowy, Sire, i nigdy jej nie miałem.

Król wpadł we wściekłość i zwrócił się gwałtownie do medyka:

— Zełgałeś przede mną, niegodziwcze! Nie lekarstwoś przygotowywał, lecz truciznę.

Ogrodnik znikł.

— Zasługujesz na to, abym postąpił z tobą tak, jak Karol Śmiały, kiedyś go szpiegował, — rzekł Coctier.

— A cóż on zrobił? Co mówią o tym?

— Mówią, że wygrzmocił cię kijem.

Król zawstydzony położył się na posłaniu i schował twarz w poduszki. Doktór uznał, że nastała odpowiednia chwila, aby uzyskać owo ułaskawienie, którego król tak uparcie odmawiał.

— Czy wypuścisz medjolańczyka? — zapytał.

— Nie!

— Ależ on nie może już dłużej siedzieć w swej klatce!

— To niechaj w niej stoi!

— Czyż nie wiesz, że jeden dobry uczynek umierającego zmazuje tysiące jego zbrodni?

— Ja jeszcze nie umieram!

— O tak, Sire, ty wkrótce umrzesz!

— Po tobie!

— Nie, wcześniej ode mnie.

— A więc i toś skłamał...

— Wszyscy obełgiwali cię, kłamco! A cztery tysiące twoich ofiar, które na kaźń wydałeś...

— To nie były moje ofiary, to byli zabrodniarze!

— Cztery tysiące straconych przez ciebie będą cię oskarżać przed tronem Najwyższego.

— Przedłuż mi życie, to się poprawię...

— Wypuść medjolańczyka!

— Nigdy!

— To niech cię piekło pochłonie! Nie długo ci już żyć. Puls twój słaby, godziny twe policzone.

Król się zerwał i, upadłszy na kolana przed doktorem, błagał go:

Podłuż mi życie.

— Nie... Skróciłbym je, gdybyś nie był pomazańcem Bożym. Otruć by cię należało...

— Zmiłuj się! Przyznaję, że w swych postępkach kierowałem się złymi pobudkami, żem myślał tylko o sobie; żem nigdy nie kochał prostego ludu lecz używałem go, aby poniżyć szlachtę; wyznaję, żem zawierał ugody i traktaty z zamiarem pogwałcenia ich, że ja... Tak, jestem marny grzesznik, i imię moje będzie zapomniane, i wszystko, com uczynił, zgładzone.

wy, jak skłonni są przypuszczać powołani i niepowołani krytycy i syntetycy sprawy polskiej, zbyt pochopnie. Pozytywizm, jako kierunek pracy organicznej, wpatrzył się bowiem w te strony i sfery tworzenia narodowego, które w danej chwili miały możność rozwoju, które leżały poza granicami myśli i czynów z krwi poczętych i koniecznością wydarzeń dla nas chwilowo zamkniętych. Mając do wyboru, bynajmniej nie swobodnego, drogę dalszą, nieskończenie dalszą, drogę, której blizkiego końca nie wróżyły zdarzenia dnia, i drogę inną, bliższą, budowaną kamień za kamieniem, powoli lecz statecznie i w rezultaty płodnie, obrał tę drogę wtórą, obrał ją zupełnie świadomie. Nie obaliły lata późniejsze tej prawdy pozytywnej, „organicznej”, owszem starały się ją raczej, zwłaszcza w niektórych z zaborów, pogłębić i utrwalić.

Galicja i Poznańskie w syntezie swej najogólniejszej przyjęły program pracy organicznej, jeśli rozumieć go będziemy bez zabarwień przekonań politycznych, bez oglądania się na sfery osób, wyznających te zasady. Wszak już w 1882 r. pisać mógł Świętochowski, że „stronnictwa ultramontańskie, arystokratyczne, przesiąkłe wyrafinowanym legitymizmem, t. zw. Stańczycy galicyjscy połączyli się w tym haśle (roboty organicznej), z żywiołem wolnomyślnym i demokratycznym naszego społeczeństwa”.

A dziś niema już na ziemiach tych ani jednego stronnictwa, ani jednej placówki publicznej, któraby nie uznawała zasad „organicznych”, jako normalnych w postępowaniu społecznym, któraby nie przemyślała *realnie*, pozytywnie planu roboty, na dziś i najbliższe jutro, mimo, że różnice między poszczególnymi stronnictwami są znaczniejsze, niż były w latach po 63 roku.

„Nowe” hasła niepodległościowe w ich przejawach bezpośrednich przygotowań zrobiły dopiero wyłom pewien w tym „spokoju organicznym”, wyłom jednakże par excellence ideowy, i to wśród nielicznych, jeno kadrów zapalnej, szczerej młodzieży; poza tym w człowieka Galicji i Poznańskiego tak wrósł głęboko typ pracownika, pomnażającego swą codzienną, wytrwałą pracą ogólny dorobek gospodarczy i kulturalny, że hasła owe przez swe oderwanie od warunków, przez swe akcesorja militarne, nie mogą liczyć nawet na zrozumienie t. zw. przednich warstw inteligencji. Jest to wynikiem naszej trójzaborowści, iż odrębne warunki zewnętrzne, wyrobiły odrębny do pewnego stopnia typ człowieka i działacza społecznego, odrębną jego fizjonomię, że więc nie wszystkie dążenia, zwłaszcza jeśli chodzi o normy ich „podania”, nie wszystkie czyny i idee, żywe do pewnego stopnia w jednym zaborze, mogą liczyć na zrozumienie i przyjęcie „bez zastrzeżeń” w innych dzielnicach.

Studnicki w swej „Sprawie Polskiej” jednakże nie zważa bynajmniej na to, konstruuje wskazania narodowe z punktu widzenia najwyżej jednego zaboru, pomniejszając lekkomyślnie wartości innych, które nie zbytnio harmonizują z jego teorją czy pojmowaniem sprawy Polskiej. Stąd całe postawienie kwestji polskiej na gruncie wprost przeciwnym kierunkowi pracy organicznej od podstaw, stąd owo jaskrawe przeciwstawianie się wszelkim wartościom tego kierunku w dzisiejszym ukształtowaniu się stosunków polskich—jest wyrazem i stoi w ścisłym związku z przecenianiem, przezeń nieumotywowanym najczęściej, walorów społeczno-narodowych zaboru jednego, a stanowczą niedoceną zaborów innych, które, jak Galicję, Studnicki w najlepszym razie traktuje, jako teren operacji, mających na celu poparcie kroków, przedsiębranych przez ów naczelny zabór.

W zaborze tym kierunek pracy organicznej, rzeczywiście w realizacjach swych wielkie nieraz napotyka trudności i przeszkody, mogące ludzi mało wytrwałych zniechęcić do roboty niepewnej często, bez przyszłości trwałej, a stąd zrozumiała niechęć Studnickiego i sceptycyzm jego wobec haseł: cegła za cegłą, w takich warunkach.

D-r Leon Biegeleisen.

(d. n.).

Przyczynek do sprawy wychodźtwa.

Całe pogranicze Królestwa z państwem niemieckiem jest terenem niezmiernie rozwiniętego wychodźtwa sezonowego. Robotnikami sezonowymi są albo dzieci włościan małorolnych, albo też sami ci włościanie, którzy wypuszczają ziemię w dzierżawę, a sami udają się na zarobek, aby zebrać pewną sumę i oczyścić

We drzwiach ukazał się młody mężczyzna w habicie mnicha.

— Morderca! — krzyknął król, zerwawszy się na równe nogi.

— Nie, — odparł mnich, jestem ten, kogoś wzywał miłościwy panie, Wincenty z St. Paulo.

— Mój zbawca! Powiedz mi jedno słowo, tylko jedno słowo pociechy!...

— Sire, — odpowiedział Wincenty, — słyszałem spowiedź twoją i władzą, daną mi, odpuszczę ci grzechy twoje.

— Mów!

— Zamiary twoje nie były czyste, jak sam się do tego przyznałeś, miłościwy panie, a jednakże uczynki twoje zapomniane nie będą. Ten, w czyich rękach spoczywają losy ludzi i narodów, używa wszystkich dla osiągnięcia swych celów. Niezbyt dawno Francja była ocalona przez niewinną dziewczynę, a teraz przez człowieka mniej godziwego... Lecz czyny twoje, Sire, ze swych skutków są daleko donoślejsze od jej czynu, bo ty dokonałeś tego, co zamierzył rzymski Cezar. Stuletnie zapasy z Anglją skończone, łupiestwo ustało i chłopi wrócili do pługów. Zjednoczyłeś jedenaście prowincji. Galja stała się jedną całością, jednym narodem, i teraz zajmie miejsce Rzymu, który zniknie i pogrąży się w niepamięci, aby może znów kiedyś się odrodzić. Francji sądzone kierować losami Europy, będzie ona wielkim i potężnym królestwem, lecz tylko dotąd, dopóki nie zacznie się domagać Rzymu Cezarów i korony cesarskiej! Sire, oto twoje zasługi! Dziękuj Bogu za to, że działając, jak ci się zdawało, według własnej woli, pełniłeś wolę Bożą.

Montjoie Saint-Denis! — zawołał król. — Panie, teraz pozwol odejść słudze twojemu...

— Tylko nie tu, —przerwał mu doktór, którego cierpliwość już się przebrała. — Jedź miłościwy panie z powrotem do Tours, weź z sobą kapłana, a zostaw mnie w spokoju.

* * *

Król powrócił do Plessis-les-Tours, gdzie dni swe zakończył po ciężkiej walce. Pokoju nie znalazł, lecz znalazł śmierć.

— No, teraz rózgi rzucone w ogień — rzekł doktór Coctier. — Niechże się spalą: dzieci wyrosły i mogą same troszczyć się o siebie. I kaci mają swe zadanie do spełnienia. Wiedzą o tym dobrze Tristan i pan jego Ludwik XI. Pokój ich popiołom!

KONIEC.

ojcowiznę z długów, lub spłat rodzinnych. Wyjeżdżają w Marcu, wracają w Listopadzie. Rozjeżdżają się po całych Niemczech, docierają do Danji i Szwajcarji. Początkowo ajenci w straszny sposób wyzyskiwali wychodźców i narażali ich na okrutne zawody. Dzisiaj w znacznej większości wypadków ten rodzaj wyzysku jest usunięty. Stało się to dla tego, że ruchliwsi wychodźcy sezonowi, pracując w Niemczech, nauczyli się po trochu po niemiecku i zaczęli proponować niemieckim właścicielom ziemskim formowanie przyszłorocznego personelu robotniczego z pominięciem ajentów. Ci ruchliwsi wychodźcy są jednak pod pewną kontrolą swoich towarzyszy: noszą oni techniczną nazwę „przodowników". Otóż taki przodownik, w Listopadzie, w chwili wyjazdu z Niemiec, już wie wielu ludzi i dokąd ma przyprowadzić w Marcu; lecz nowych kandydatów przyjmować może tylko o tyle, o ile ktoś z dawniej pracujących pozostaje na lato w Polsce. W stosunku do niemieckiego obszarnika taki przodownik jest tłomaczem, niekiedy włódarzem, pobiera wyższą pensję. W Niemczech, podczas sezonu, wychodźcy nasi otrzymują pożywienie dość nędzne, ale które wobec niskiej skali ich potrzeb wydaje im się dostatecznym, oraz zarobek wypłacany w gotówce. Ten zarobek starają się w całości przywieźć lub przesłać do domu, i istotnie przeważnie przywożą ze sobą pieniądze, 70 do 130 rubli, czasem wyżej za sezon. Pieniądze te w ogromnej większości bywają lokowane w rozmaitych kasach gminnych i towarzystwach pożyczkowo-oszczędnościowych, a następnie, gdy zbierze się ich dość, zużywane znów prawie wyłącznie albo na spłatę długów z gospodarki włościańskiej, albo — i to przeważnie — na zakup nowej ziemi. Nową ziemię kupują włościanie przeważnie od wielkich właścicieli ziemskich, gdyż mimo wysokich cen ziemi wielkiej własności, są one jednak niższe od cen ziemi drobnej własności. Z całego tego procesu wynika z jednej strony prawie zupełny upadek lichwy, a w każdym razie zupełne uniemożliwienie egzystencji lichwiarzom, którzy poświęcaliby się wyłącznie temu procederowi; — następnie zaś znaczna zwyżka cen ziemi, nieproporcjonalnie szybka w stosunku do dochodów. Jest również i skutek kulturalny nie ulegający najmniejszej wątpliwości. Włościanin, który przebył kilka sezonów za granicą, jest bez porównania sprytniejszy, sprawniejszy, więcej rozgarnięty od takiego, co nigdy nie ruszał się z domu.

Cóż robi polska wielka własność? Płacić tyle, wiele płacą w Niemczech, nie może, bo ceny produktów rolnych są u nas znacznie niższe. Maszyny tylko w części zastąpić mogą pracę ludzką w rolnictwie. Miejscowa wielka własność sprowadza więc sobie robotników sezonowych z takich okolic, gdzie robotnik rolny jest gorzej płatny, jako to z zacofanych gospodarczo części Królestwa, jak Kieleckie, lub południowa część Lubelskiego (powiat Biłgorajski szczególniej), niekiedy z Galicji, z Wołynia, z Białej Rusi. Gubernia Witebska, naprzykład, dostarcza bardzo wielu robotników sezonowych Kaliskiemu. Na stacjach kolei Kaliskiej, w końcu Listopada, widzi się codzień całe tłumy robotników wyjeżdżających na wschód ku Warszawie i całe tłumy przyjeżdżających do domu na zimę z Niemiec. Ta „wędrówka narodów" w ostatnich latach odbywa się z coraz większym stopniem napięcia, — i daleką jest od swego kresu.

J. K.

Z kuźni bluźnierstw.

Aforyzmy o Czynie.

I.

N o b l e s s e o b l i g e. Kto zapowiada bluźnierstwa, nie może być nigdy pewny wygranej. Zawsze powie za mało i wywoła rozczarowanie: domagano się od niego widocznie więcej odwagi. Ale może on poprzestać na tajnym współpracownictwie słuchających go dusz i zachować się tak, jak ten, co zadał dwuznaczną zagadkę, wydobywającą wizje nieprzyzwoite, a potym spokojnie podaje niewinne rozwiązanie. Największą jednak nieprzyzwoitością jest żądać od drugich zadużo odwagi.

C h y t r o ś ć b o g ó w. Jeżeli są bluźnierstwa, winne temu albo bóstwa, albo kapłani. Ich ratunkiem jest ogłosić bluźnierstwa za nową formę modlitwy i tak je ulegalizować. Wielu naiwnych bluźnierców korzysta z tej pokusy i powiada: „Jak kto może, tak swego boga chwali".

W e d l e s t a w u g r o b l a. Komu się tendencja moich aforyzmów nie spodoba, może to sobie powetować, orzekając, że nieudolnie naśladuję Nietzschego. Mój kaprys literacki mogę jednak od biedy uzasadnić rzeczowo. Kując broń przeciw Czynowi, przybieram sam maniery militarne i bawię się w partyzantkę. Być równocześnie na kilkunastu punktach, powiedzieć do woli zadużo, albo zamało, przeleźć wszędy, wyciągnąć z jamy za ogon każde głupstwo, zagalopować się i o kilka aforyzmów dalej odwołać, z tą cyniczną świadomością, że *semper aliquid haeret*— kto śmie bliźniemu swemu wzbraniać prawa do rozboju na niegładkich zaiste drogach?

K u ź n i a a u r e o l i. Odbywa się teraz kucie aureoli; najlepsze młotki są przytym czynne, — obok dogorywa święty. Od czasu do czasu jednak wstaje, przymierza aureolę do głowy, wykona sam kilka uderzeń młoteczkiem i kładzie się dogorywać dalej. Aureola po śmierci ważniejszą jest od życia. Jej złoto może być kiedyś rozmienione i pójść między lud. Ale *suae quisque faber est aureolae.* Tego złota nie można podrobić! Historja bohaterszczyzny nie wyda więcej, niż w nią włożono. Po aureoli poznacie ich!

M a n i e r y C z y n u. Na wiadomość, że znalazłem opustoszałą kuźnię bluźnierstw, przysłał mi Hamlet list, w którym z oburzeniem prostuje zajścia, opisane przez Brzozowskiego w „Interludyum" („Kultura i życie", str. 47) i prosi o wzięcie go w obronę. Ponieważ ze stylu listu widzę, że Hamlet jest bardzo steroryzowany i stał się sentymentalnym mazgajem, wolę całe to zajście opisać własnymi słowami.

Człowiek czynu przychodził codziennie do Hamleta i budząc go z zadumy mówił: „Patrzaj, podczas gdy ty rozmyślasz, ja c-z-y-n-i-ę. Zapamiętaj sobie dobrze tę różnicę. Będę ci to codziennie przypominał". I przyszedł raz w zabłoconych butach i rzekł: „Wyciągnąłem z błota wóz biedaka. A ty co?" Innym razem trzepnął go mocno w kolano, aż Hamlet podskoczył, i wtedy człowiek czynu uśmiechnął się basowo i pokazał mu swoje zasmolone i popękane dłonie. „Widzę, że ci to nie imponuje" rzekł „teraz jednak zobaczysz na pewno, że jestem człowiekiem czynu". Wrócił, mając ślady krwi na rękach, którą mu rozsmarował po nowiutkim ubraniu. „Owoc mojego czynu leży nieżywy na ulicy; wyjdź i zobacz!" A gdy Hamlet dawał oznaki obrzydzenia, człowiek czynu rzekł stentorowo: „Jutro przyślę ci coś na nerwy!" i nazajutrz otrzymał Hamlet pakiet ze skalpami trzech mandarynów i kartką: „Sniło mi się, że poznałeś, jak marnym jesteś wobec mnie i powiesiłeś się!" Hamlet z obawy przed policją wyrzucił skalpy i zmienił mieszkanie.

Ale niebawem odkrył go człowiek czynu, bo przechodząc, zajrzał mu w otwarte okno i zawołał: „Co, jeszcze żyjesz?" „Wypraszam sobie takie żarty!" „Żarty? wnet pokażę ci, że nie żartuję". I w miesiąc później zastukał do jego drzwi przepiłowanymi kajdanami i wszedł zbroczony własną krwią. „Patrz niewierny Tomaszu! włóż palec w rany moje!" I chwyciwszy palec Hamleta, wodził nim po ranach. Hamlet anonimowo posłał mu 80,000 funtów duńskich, połowę (aż? tylko?) swego majątku. Niebawem zjawił się znowu u niego człowiek czynu i tajemniczo-groźnie mówił: „Myślisz? Ani ziarnka piasku nie poruszysz swą myślą. Mnie nie zobaczysz już więcej! Rozumiesz te tragiczne słowa? Nie zobaczysz mnie więcej! Spełniłem do dna święty sakrament czynu, gdy ty próżnowałeś i robiłeś tylko słowa, słowa, słowa — jak się sam w napadach samopoznania trafnie wyrażasz. Mam mocną nadzieję, że wstyd i honor podyktują ci potym, co ci uczynić wypada — i że się przecież powiesisz, jeżeli jesteś szlachcicem". W trzy dni po jego zgonie ocknął się Hamlet, wpadł w szał skruchy, bił się w piersi, chciał się powiesić na jedwabnym sznurku, który mu kiedyś człowiek czynu podrzucił, lecz ostatecznie zrobił sobie na nim różaniec z czynów bohatera.

S u m i e n i e c z y n u. Każdy czyn pali za sobą mosty, na dnie jego spoczywa sto pomordowanych możności. On wybrał, rozstrzygnął. Musi za wszelką cenę wiedzieć, mieć pewność, stąpać równym krokiem po linji prostej. Stąd jego naturalne dążenie do namacalnego dowodu, że był sobą — inaczej by może sobie nie uwierzył. Czyn jest zajadłym sceptykiem i materjalistą.

D o b r o w o l n e u b ó s t w o. „Przez dziury twego płaszcza przegląda próżność twoja!" Aby dojść do celu, musi czyn jak najmniej brać ze sobą bagaży. Często bywa ofiarą, lecz zawsze zaczyna od innej ofiary. Nie lubi też niczego, co mu przypomina świetną przeszłość, kiedy spoczywał w kołczanie woli.

A p o t e o z a w a h a n i a s i ę. Chwila, w której duch zawisa ponad możliwościami, wszystkie swoje skarby przeglądając, chwila dziwnego bogactwa i sprawiedliwości! — kto kiedy wykosztował do dna twój czar! Jedyny momencie, w którym największe sprzeczności stapiają się w jeden cudowny kryształ, mieniący się w słońcu — jakże Cię zohydzono! Ciebie przychodzi stwierdzić czynem — niestosunkowo mała zapłata! Hamlet znał twój niebezpieczny urok i on, który był niewyczerpanym w gderaniu na siebie, wynalazł gadkę o *ośle Buridana*.

„B r a k w o l i". Jeżeli czyn nie dochodzi do skutku, to pono z dwuch przyczyn: albo wskutek trudności wyboru, albo wskutek tam braku woli. Brak woli ściąga się zwykle do neurastenji — ale chociaż nawet nauka nagromadziła wiele materjału dowodowego w tym przedmiocie, możnaby powątpiewać, czy nauka nie była tu zbyt usłużną i przekupną. Umysł chłoszcze ciało za robotę, której sam nie wykonał. On postanowił, ale bez istotnego przekonania, steroryzował sam siebie, postanowił za wcześnie lub po tchórzowsku, podpisał dekrety, narzucone mu zzewnątrz, a teraz chciałby się cofnąć, protestuje i winę tego zamętu zwala na odpowiedzialnego ministra: ciało. Brutalność w usuwaniu wątpliwości, lub zdolność niewidzenia ich — nazywa się siłą woli.

P o d w ó j n e d n o s u m i e n i a c z y n u. Wrzask, jaki się u nas co chwila podnosi o czyn, wywiera takie wrażenie, jakby chciał zagłuszyć niewiarę w powodzenie czynu, co najmniej zaś jest symptomem doprowadzonej do ostateczności niemocy. Ten czyn chce się zerwać rozpaczliwym wysiłkiem, jak pies z łańcucha. Słychać w nim przyszłe westnienie: nareszcie! Jest coś niezmiernie kompromitującego w tych przedwstępnych podskokach i rozmachach czynu, coś, co wygląda na próby tabetyka, aby przeskoczyć rów. Nadto jeszcze ta rozbrajająca ufność, że po rozpoczęciu czynu wyzwolimy jakiś nieznany pierwiastek, który wejdzie z nami w sojusz — w nagrodę za odwagę („z pomocą Bożą jakoś to będzie!" mawiali starzy); ufność, którą Brzozowski ujął nawet w system.

C z y n j a k o ś r o d e k w y w i a d o w c z y. Natomiast nie rzadko można się przez czyn dowiedzieć, jak rzeczy stały, i jeżeli nawet wydawał się zrazu nieusprawiedliwionym — obrócić sprawę tak, aby wydobyć potrzebny mu motyw, zrobić, aby powód nastąpił po skutku.

N a j e m n y ż o ł n i e r z. Wszelki czyn jest podejrzanym, gdy kładzie się w nim nacisk na sam fakt czynu, nie na jego treść i cel. Ale mówi się: „Ruch jest wszystkim". Od początku świata jednak czynów i ruchu było pod dostatkiem, sensu mało. Czyn— jest to naczynie najpospolitsze (zdziwienie na sali!). Jeśli zaś teraz zagadnienie czynu słusznie wystąpiło na pierwszy plan, to nie dlatego, aby wszystko ku czynowi obniżyć, lecz aby go podnieść, stworzyć zeń naczynie na treść najkosztowniejszą.

Karol Irzykowski.

D. 10, 11 i 12 b. m. odbywał się w Warszawie doroczny zjazd *Kółek Rolniczych im. Stan. Staszica*, przy licznym bardzo udziale delegatów i członków. Obrady i wnioski zjazdu omówimy w najbliższym numerze.

BADANIA NAUKOWE.

Darwinizm i wiedza współczesna. 1910. Warszawa, G. Centnerszwer i Sp.

Zbiorowa książka powyższa zaleca się tym, że na jej powstanie złożyły się prace zasłużonych i utytułowanych badaczy. Myślą przewodnią autorów było wskazanie stosunku lub wpływu teorji ewolucji, doboru naturalnego i walki o byt na rozwój poszczególnych gałęzi wiedzy, nie będących wiedzą biologiczną w ścisłym znaczeniu tego wyrazu. Temat nie osobliwie żywotny. Pomimo najlepszych chęci autorów i starannie dobieranych wywodów, ani Jerzemu Darwinowi, ani Whetham'owi nie udało się wykazać jakiegokolwiek stosunku lub wpływu darwinizmu na ewolucję gwiazd i na teorję atomistyczną. To, że dowodzenia wspomnianych autorów wypadły niefortunnie, oczywiście, nie wyklucza jeszcze istnienia stosunku dalszego lub bliższego pomiędzy darwinizmem a tymi dwiema dziedzinami zjawisk. Może z czasem, gdy wykryta zostanie np. mechaniczna podstawa dla teorji ewolucji, doboru i walki o byt, odsłoni się wspólne podłoże dla darwinizmu, dla atomistycznej teorji i dla astrofizyki. Obecnie jest to moment jeszcze daleki. Przez to jednak, że Jerzemu Darwinowi i Whethamowi nie udało się dowieść tego, czego gorąco sobie pragnęli, szkice ich naukowe nie zatraciły swej wartości — informacyjnej, zatym najważniejszej.

Ponieważ darwinizm oddziałał wyraźnie na nowoczesny światopogląd, przeto wpływ jego musiał się ujawnić w filozofji. Powiadamia czytelnika o tym Höffding, kreśląc ten szmat historji filozofji, który od-

nosi się do poprzedników i następców Darwina. Darwin w niektóre dziedziny zjawisk bezpośrednio wdarł się swoimi dociekanami i wywodami. Taką dziedziną było zagadnienie początków mowy. Z tego powodu p. Giles, autor rozdziału: „Ewolucja a językoznawstwo" miał zadanie najłatwiejsze, chcąc wskazać ingerencję darwinistycznych pomysłów w dziedzinie językoznawstwa.

Więcej zdecydowany wpływ darwinizmu z natury rzeczy musiał się ujawnić w socjologji, w historjozofji i w studjach nad zjawiskami religijnymi. Darwinizm wysnuł swe teorje z objawów cielesnego i duchowego życia świata ożywionego. Przejawy religijne, przewroty historyczne, zjawiska społeczne są tylko poszczególnymi wypadkami objawów życia, dalszą postacią rozwoju walki o byt i doboru. To też darwinizm „in toto", sięgnął w te dziedziny wiedzy, co pp. Bouglé, Bury i Harrison uwydatnili w odnośnych swych szkicach.

Wydawnictwo, o którym mowa, może czynić zadość tylko szczupłemu gronu czytelników polskich, złożonemu z intelektualistów. Ganić z tego powodu wydawnictwo, byłoby dziwactwem, nie można jednak się powstrzymać od uwagi praktycznej, że lepiej byłoby w naszych warunkach oszczędzać i skupiać środki wydawnicze na pouczanie ludzi, pozbawionych powszedniej strawy myślowej o rzeczach i sprawach kardynalnych. Zbyt dużo filozofujemy i teoretyzujemy, a zbyt mało znamy fakty i rzeczywistość. Obeznawanie z faktami i rzeczywistością jest najpilniejszym obecnie celem wydawniczym.

Alexy Kurcyusz.

Tylor E. B. **„Antropologja"** 1911 r. wydanie trzecie.

Tytuł wyżej wskazany pojął autor etymologicznie, jako „naukę o człowieku" niezawodnie, ażeby moc pozyskać większą swobodę w wyborze poruszanych przez się tematów. W ramy „nauki o człowieku" możnaby bodaj zmieścić całą dotychczasową wiedzę. Od czasu ogłoszenia pracy Tylora i pojawienia się pierwszego polskiego wydania antropologja cielesna, dzieje kultury i etrografja zrobiły pod niejednym względem duży postęp, pomnożyły i sprostowały swe dane, usystematyzowały je celowo, odsłoniły nowe zagadnienia, znalazły odpowiedź na dawne nierozstrzygnięte pytania. Pomimo tego nie obniża to dzisiejszej wartości opracowania dokonanego przed wielu laty, nie bacząc, że opracowanie Tylora właśnie obraca się koło tematów z zakresu antropologji fizycznej w ściślejszym znaczeniu tego wyrazu, z zakresu dziejów kultury i etnografji. Tłomaczy się to tym, że Tylor za przedmiot swych wywodów i rozważań obiera fakty najwięcej brutalnie rzucające się w oczy, najmniej wątpliwe, pozostawiając natomiast na stronie wszelkie subtelności i szczegóły podrzędniejsze. Te lapidarne fakty i zjawiska pozornie niezależnie istniejące i rozwijające się, rozpatruje Tylor syntetycznie w związku ze sobą, w zależności od siebie i porównawczo Dzięki temu dane antropologji fizycznej, dane etnografji i dane dziejów kultury przestają być chaosem fragmentów, przestają być epizodami, lecz stają się ogniwem w łańcuchu zależnych od siebie zjawisk, posiadających swe kolejne następstwo w czasie.

Prócz tego jakby „ewolucjonizmu" odsłoniętego w przejawach życia ludzkiego, dzieło Tylora posiada tę ogólnokształcącą i wychowawczą zaletę, że rozszerza widnokrąg myślenia, oswaja z naturalizmem i ziemskim pochodzeniem etyki, prawa, religji. Wartość omawianej książki sama wreszcie się określa, gdyż nawet w Polsce pojawia się w trzecim wydaniu.

Obok faktu, że nawet tłomaczone wydawnictwa naukowe stosunkowo prędko się rozchodzą jak np. już wyczerpane „Dzieje ziemi" Neumayera, albo nawet jeszcze droższa, lecz banalnej treści książka jak „Wszechświat i człowiek" — trzy edycje „Antropologji" Tylor'a zaprzeczają wygodnemu kłamstwu rozsianemu przez polskich wydawców, że książka naukowa nie znajduje popytu w Polsce, kraju bezprzykładnej ciemnoty. Cała tajemnica powodzenia przy wydawaniu choćby drogiej naukowej książki, jest to wydawanie naprawdę naukowych książek stojących na wysokości nowoczesnych wymagań pod względem formy i treści.

Powracając do oceny książki omawianej, zaznaczyć trzeba, że słabą stroną wydawnictwa są ryciny, które w trzecim wydaniu wypadły gorzej niż w pierwszym skutkiem zużycia i zdarcia się sztampili. Szczęściem dla książki tej treści rysunki choć zawsze pożyteczne i pouczające nie stanowią składnika nieodzownie potrzebnego, kilka zaś ciekawszych rysunków dzięki swemu kreskowemu charakterowi wypadły całkiem pomyślnie.

Alexy Kurcyusz.

KRYTYKA.

Kronika teatralna.

„Śluby panieńskie" — Teatr Mały.

Od dwu prawie tygodni jedyny warszawski prywatny teatr, t. z. Mały, teatr o niezmiernie ruchliwym repertuarze, oscylujący pomiędzy „Meleagrem" a „Mon ami Teddy" — gra Fredrowski „Magnetyzm serca". Nawiasem mówiąc, echo to jakby tęsknoty współczesnej ku swym przeszłym wielkim albo zapomnianym, bo i w „Rozmaitościach" Bliziński tryumf święci, — czy zwrot to spontaniczny czy świadomy, orzec trudno, w każdym razie dość znamienny.

Wracając do Fredry, o wartości „Slubów", które w panteonie sceny narodowej zajęły miejsce nawieczne, które tak nie tylko wszechpowierzchownie lecz i wszechstronnie rozanalizowane były przez pióra wszechhistoryków literatury polskiej XIX stulecia, — o sztuce tedy samej pisać, byłoby to nosić sowy do Aten. Chciałbym natomiast poruszyć pewne przytony dopełniające ogólne wrażenie widza, chciałbym z refleksji wysnuć wniosków kilka na temat odtwórczy, na temat t. z. „wystawienia" sztuki.

Wszystkie wyżwspomniane pióra historyków literatury naszej starały się dowieść, że Fredro to właśnie — Moljer Komedji polskiej i, zgódźmy się, że dowodły... więc, i tu nie kropka, lecz wywód być winien. Fredro--Moljer. Fredro—określmy epitet twórcy „Zemstysty" pewnym nic zresztą nie definjującym tak ustalonym walorem—klasyk. I teraz związawszy to pojęcie z pojęciem Moljera-klasyka dojść musimy do nieubłaganego wywodu: podobnie jak francuzi grają swego Moljera, tak my *powinniśmy* grać naszego Fredrę.

Więc — po pierwsze stworzyć specyficzną sceniczną atmosferę, którąby najlepiej odpowiadała Kamertonowi fredrowskich utworów; więc — grać Fredrę tak, jak się nie gra autorów innych (co właśnie francuzi robią z Moljerem); więc... stworzyć specjalny fredrowski *styl.*

Jak go zaś stworzyć, jakim ten styl być winien, w tym już głowa zarówno naszych krytyków, jak reżyserów i kierowników, fakt, że styl ten stworzony być musi in toto, fakt, że tak w szczegółach jak w całości zamknięty być musi, jak powiedzmy, joński ka-

pitel, — gdyż inaczej powtarzać się będzie w dalszym ciągu nasze zwykłe samochwalstwo narodowe, nasze samodurne wykrzyki: „mamy swego Moljera! mamy Cerwantesów, da Vinci'ch, ba, Dantów, jeśli nie coś więcej... aha!" Mamy, tylko niezupełnie mamy słuszność szczycenia się nimi, bo prawie nic lub bardzo mało robimy dla należytego dzieł ich uwypuklenia, rozdowszechnienia i samego trwania nieraz, kontentując się samym faktym posiadania.

Sciągając powyższe do twórcy „Geldhaba", — były już wprowdzie próby konstytuowania stylu fredrowskiego lecz sporadyczne, lecz bez żadnej łączności z sobą, lecz bez konsekwencji.

Jedną właśnie z takich prób jest wystawienie „Ślubów" na scenie teatru Małego. Sztuka przez wstęp i zakończenie muzyczne jest ujęta w formę ram — tworzy wizyjny obraz jakby. Rozpoczyna ją polonez z „Hrabiny" (ten popularny polonez, stworzony pierwotnie jako pendent do sceny rozpamiętywania dawnych czasów przy „suprême zieleniaczku"), a kończy kurant ze „Strasznego Dworu" przy utworzeniu z osób grających żywego obrazu. W ten asocjacyjny sposób pomysł wizyjności dzieła jest osiągnięty i współczesność wszelaka poza ramami zostaje, przed nami staroświecki świat się iści, formuje się styl pewien.

Ramy więc dobrane, idzie o sam obraz. Jakiej epoki styl najodpowiedniejszy być może dla sztuk Fredry? Z punktu widzenia t. z. „wystawy" przypuszczam, że zawsze ten, który odpowiada naszym pojęciom o dacie powstania danego dzieła scenicznego. Właśnie dacie powstania, Fredrze bo wszelka względem siebie historyczność była obcą, dla czasu swego był to twórca nawskroś owczesny, atntytezą dlań jest Korzeniowski. Jeżeli więc patrzymy na „Sluby", myśl krąży około roku 1824, tych więc czasów kostjumy, tych meble, jednym słowym, cały sceniczny „entourage" być winien. I niesłusznym jest zdanie, że Fredrę grać można w strojach współczesnych (Radost bo wtedy będzie dzisiejszym „wujaszkiem" z farsy, Albin w smokingu z chustką do łez w ręce, a charakterystyka Gustawa jako światowca pogłębi się jego rozsmakowaniem w zabawach „Pod zieloną papugą" w Lublinie) zarówno jak niesłusznym jest odsuwanie epoki „Slubów" do czasów Księstwa Warszawskiego, przed Raszyn; bo, jak wzmiankowałem, Fredro nie historyzował i sama pogoda bez chmurki, jaka rozsłoneczna sztukę, odpowiada dacie jej napisania, rokowi 1824, epoce, gdy rany napoleońskie się goiły, kongresówka tężała w pracach dobra publicznego; już nawet w trzy lata potym słoneczność sztuki musiałaby być ściemiona refleksjami o spiskach z przed 1830 r. Toż samo powiedzieć można i o gry sposobie. Wszelka współczesność, wszelkie operowanie dzisiejszymi środkami aktorskimi nie może odpowiadać atmosferze utworów Fredry. Sam wiersz, uwagi „na stronie" monologi tak odskakują od warunków sceniczności współczesnej, że stylu dla grania szukać trzeba w archaizowaniu sztuki aktorskiej.

Tymi drogami tylko sobie wyobrażam wyrobienie u nas specjalnego „fredrowskiego" stylu, — fredrowskiego teatru. Bądźmy konsekwentni w stosunku do... Moljera.

Kazimierz Wroczyński.

Stanisław Żyżkowski: **Nędza.** Studjum powieściowe.

Rzecz niezmiernie ciekawa z uwagi na przeżycia bohatera, mniej natomiast zadowalająca pod względem doboru środków artystycznych. Autor lubuje się, z dotkliwą szkodą dla wagi swego dzieła, w omówieniach, parafrazach, czczych gestach językowych i hałaśliwych ornamentach stylu. Cenne spostrzeżenia, żywotne pomysły, doskonałe wiwisekcje niedomagań społecznych, — topią się poprostu bezradnie w wirującym odmęcie frazesów. Autor, oszołomiony zdradziecką łatwością słowa, puszcza niekiedy w ognisty cwał kawalkaty zdań, okrzyków i wyrazów, i pędzi razem z nimi na oślep, nie oglądając się wstecz i nie bacząc, że dawno, w szalonym biegu, pogubił resztki myśli, i że niesie go już tylko — impet językowy.

Poza tą, wszakże, kurzawą wzdętej frazeologji przeświecają rysy doświadczeń życiowych — wyraźne i trafnie ujęte. Ten włóczęga bezdomny, osaczony przez głód, zżerany przez nędzę, odtrącany od dzwi domów, w których mieszka szczęście i dostatek, spadający coraz niżej i niżej po szczeblach poniżenia aż na samo dno gehenny ludzkiej, — ma w sobie, mimo wszystko, jakąś wyniosłą dumę nieodpartego protestu, jakąś głuchą nieuświadomioną wielkość obelgi ciśniętej w twarz — całemu szczęśliwemu światu!

J. T.

NA DOBIE.

Rozłam wśród Marjawitów

Epoka dzisiejsza nie sprzyja kiełkowaniu nowych idei religijnych i organizacji nowych kościołów, to też powstanie na ziemiach polskich Marjawityzmu jest wymownym świadectwem, że sporą częścią naszego ducha tkwimy jeszcze w średniowieczu.

Pomiędzy reformacją polską, a dzisiejszymi próbami tego rodzaju legły trzy stulecia; co w wieku XVII mogło być główną dźwignią rozwoju, to samo skazane jest obecnie na nikłą rolę dość problematycznej dywersji.

Marjawityzm — spóźniona faza ruchu religijnego w Polsce — w ciągu lat kilku zdążył wybujać i — okwitnąć. Spóźnione fazy zazwyczaj bywają krótkie, to też znamienną jest rzeczą, że wyszedłszy zaledwie z pieleszy, marjawityzm począł zdradzać nałogi i popędy starych, wytrawnych dykasterji, zamiłowanych we władztwie i chętnie używających pomocy sfer bardzo miarodajnych. Ów objaw rozkładu wytknęliśmy marjawitom jeszcze w roku zeszłym, w artyk. *Na zgubnej pochyłości* (Nr. 46) gdzie między innymi takie zawarto uwagi:

...„występując w obronie biednej, prześladowanej sekty z pobudek wyłącznie ideowych i humanitarnych, nie mogliśmy oprzeć się nadziei, że Marjawici, zawdzięczając powstanie i rozrost szerzonego przez się kultu zasadom tolerancji, ukochają jej ideał, jako rękojmię swego bytu i w swej maleńkiej gminie staną się rozsadnikami szczytnych zadatków przyszłej kultury wolnościowej.

Rzeczywistość zadała brutalnie kłam naszym nadziejom. Kronika sądowa ostatnich dni jęła notować wystąpienia księży marjawickich na drogę sądową z odwołaniem się do ramienia świeckiego, celem pozyskania dla dogmatów ich wiary sankcji przymusu państwowego."

W miarę wzrostu wzwyż hierarchji świeżego stempla, kościół marjawicki zstępował po zgubnej pochyłości. Na skutek represji dygnitarzy płockich względem jednego z popularnych w Warszawie kapłanów, śród części wyznawców sekty rozpętała się burza, grożąca formalnym rozłamem. Pierwiastek demokratyczny—jest nim zasada obieralności księży przez parafian — starł się tu z autorytetem hierarchji biskupiej, która złożyła ks. Żebrowskiego z urzędu, pod zarzutem herezji i schyzmy. Że nadto wyszło na jaw dość arbitralne szafowanie pieniędzmi parafian, przeto zapanowało wśród ludu marjawickiego wielkie rozgoryczenie względem biskupa Kowalskiego, który jest głównym dostojnikiem sekty przy boku błogosławionej

p. Kozłowskiej. Że zaś biskup Kowalski, wzorując się widocznie na katolickich swoich kolegach, lubi uśmierzać malkontentów „świeckim ramieniem", przeto sens moralny całego zajścia dla widzów postronnych, a nawet i dla uczestników bardziej krytycznych, zawrzeć się może w słynnym finale Heinoskiej „Dysputy."

Obóz katolicki zdradza z tego powodu rzetelną uciechę, którą, mimo zaprzeczeń z jego strony, odnieść należy do kategorji *Schadenfreude*. W gruncie rzeczy powodów do radości tu niema, o ile nie stoi się na terenie li tylko zawodowej konkurencji; ewentualny bowiem upadek moralnego znaczenia sekty świadczył by jedynie, że nie można dziś nic trwałego budować pod hasłem religji, która nawet w świeżych, nawet w demokratycznych i odrodzeńczych swoich przejawach nie wykazała ani twórczej mocy, ani dostecznej powagi moralnej.

Zresztą, w dziejach reformy religijnej, rozłamy i schyzmy są rzeczą zupełnie zwykłą, normalną; raz wszedłszy na drogę krytycznej interpretacji dogmatów, dysydenci muszą w dalszym ciągu dzielić się na coraz to inne, coraz nawet doskonalsze szkoły religijnego myślenia; jakoż w Anglii i Ameryce, gdzie myśl religijna przejawia się najbujniej, istnieją setki najprzeróżniejszych kościołów i obrzędów, nieraz bardzo dziwacznych. Tylko zupełna, obowiązująca u nas, niewiedza w dziedzinie religji, może traktować różnicowanie wierzeń i skłonności mistycznych jako rzecz zdrożną i szkodliwą.

Merytoryczna ocena sporu wśród marjawitów nie do nas należy. Wątpliwym jest jednak, by ztąd wynikł oczekiwany ruch zwrotny ku rzymskiemu Kościołowi, jakkolwiek bowiem lud marjawicki sarka na swoich biskupów i wyrzeka na gospodarkę finansową niektórych księży — to jednak, przyznać należy, skandal przy ulicy Szarej ani się umywa do historycznej, olbrzymiej, epokowej sprawy *Macocha i Spółki*.

A nadto, mimo dziwaczne i śmieszne rzeczy w rodzaju np. szkaplerzy z włosami p. Kozłowskiej, która najwidoczniej stworzyć chce nowy w dziejach pracy kobiet zawód *papieżycy*, mimo wszystkie mistyczne dywagacje, kościół marjawicki tym różni się zasadniczo od rzymskiego, że tworzy wielce pożyteczne instytucje, stawia szkoły i szpitale, krzewi oświatę, popiera czytelnictwo, budzi zmysł współpracy i samopomocy, jednym słowem *zapala światła*, gdy tamten specjalizuje się w ich gaszeniu.

Joanna d'Arc i „Moja Baba".

Kompletne wydanie kłamstw i potwarzy, napiętrzonych przez pobożnych naszych publicystów ku pohańbieniu młodzieży polskiej w Galicji, byłoby bezsprzecznie księgą monumentalną w rodzaju Wielkiej Encyklopedji. Owa *Magna Charta Obscurantiae* daleką jest jeszcze od końca, lecz w pierwszych już rozdziałach natchnieni jej autorzy zdążyli objąć oczyma — pod odpowiednim kątem widzenia — spory obszar współczesnego życia nazewnątrz granic Polski.

W rubryce „Tolerancja" — a jest ona traktowana zgoła oryginalnie i bardzo pomysłowo — współpracownicy *Słowa Polskiego* wypisali szereg następujących formuł:

„W miniaturze dała nasza„ wolna myśl" na gruncie krakowskiego uniwersytetu przykład tej samej bezwzględnej nietolerancji, jaką na wielką skalę ujawnia rząd masoński we Francji. Różnica tu i tam leży tylko (!) w sile, którą rozporządzają odpowiednie żywioły. Ale dążenia i apetyty ich są tu i tam te same. Jeśliby miały one dojść kiedykolwiek u nas do silniejszego wpływu, czy to na gruncie ogólno-politycznym, czy choćby tylko w mieście, wzmoże się jeszcze bardziej ich arogancka nietolerancja dla wszystkiego, co nie pasuje do ich szablonu wolnej od religijnych i narodowych „przesądów" doktryny".

Pobożny współpracownik *Słowa Polskiego* wydłużył umyślnie końcowy okres, by go uwieńczyć najbezczelniejszym ze wszystkich oszczerstw. Z takimi poglądami, które pełzają i syczą, polemizować nie można: dość przydeptać je końcem buta, jak zjadliwą gadzinę.

Natomiast socjologiczna ocena wartości „rządów masońskich we Francji" zasługuje na uwagę bodaj dlatego, że dotyczy spraw obcych i względnie obojętnych, a więc nadających się do spokojnych rozważań. W r. 1908 istotnie zaszły w Paryżu wypadki bardzo podobne do zaburzeń krakowskich, przyczym w całej pełni zabłysła „bezwzględna nietolerancja" tamtejszych bardzo potężnych kół wolnomyślnych.

W tym czasie wykładał w Sorbonie niejaki prof. Thalamas, notoryczny bezbożnik, autor głośnej pracy o Joannie d'Arc, co tworzy *pendant* do *Mojej Baby* ks. Zimmermanna z tą jednak różnicą, że studjum francuskiego masona nie jest błazeństwem, lecz monografią bardzo ciekawą, śmiałą i oryginalną.

Są postacie, których nie wolno jeszcze badać przez „mędrca szkiełko i oko", nawet w czterech ścianach pracowni naukowych. Do takich należy Dziewica Orleańska, najpiękniejsze bodaj ze zjawisk dziejowych, zdolnych rozpłomienić serca i głowy, zwłaszcza francuskie.

Pierwsze *publicum* prof. Thalamas'a rozpętało szaloną burzę. Na prawicy skrzyknięto pospolite ruszenie; młodzież arystokratyczna i klerykalna sformowana w rodzaj bojówki pod nazwą „kamlotów Króla Jegomości" — ruszyła do ataku.

W ciągu całego semestru była Sorbona terenem homerycznych bojów. Wrzały zgiełkiem bojowym aule, krużganki i sienie olbrzymiego gmachu; niestrudzeni kamloci pod wodzą wybitnych rojalistów dokazywali cudów pomysłowości i techniki wojennej; dwa razy wdarli się przemocą do auli i znieważyli czynnie bluźniercę, poczym nadbiegał z odsieczą hufiec studentów postępowych i odpierał najazd, zaś profesor, z niewygasłym jeszcze ogniem walki w oczach, w nadszarpniętych mocno szatach, ale niezłomny i nieustraszony, zasiadał znów na katedrze.

Burza rozrosła się w końcu do rozmiarów niezwykłych, wytoczyła się na przyległe dzielnice, zakłócała spokój w kawiarniach, szalała po bulwarach, przeszła na prawy brzeg Sekwany, obiła się o fasadę ministerjum spraw wewnętrznych, dotarła do mównic parlamentarnych... Mimo brutalnych rowolwerowych metod „kamlotów królewskich", których zresztą niebawem potępił za to sam domniemany „król" francuski— mimo, że winowajcy wcale się nie kryli — *nikogo nie relegowano ze Wszechnicy*; rektor Croiset, również notoryczny ateusz, uśmiechał się pobłażliwie, rząd masoński zdawał się nie spostrzegać wojny domowej w *quartier latin*, zaś niefortunny Thalamas, otoczony garścią uczniów, zahartowanych w boju, nakształt starej gwardji napoleońskiej, brnął w odwrocie historycznym do końca semestru, poczym opuścił niegościnne progi Sorbony i wrócił w domowe zacisze, aby następnie zasiąść w Izbie Deputowanych na lewicy radykalnej.

Oto przykład owej srogiej, fanatycznej nietolerancji, przed którą ostrzega *Słowo Polskie* ogół swoich czytelników; ci ostatni mogą się zresztą bardzo łatwo przekonać, że nietolerancja jest najściślej związana z tradycją wolnej myśli, począwszy od aparatu tortur inkwizycyjnych stosowanych do jej pierwszych pionienierów, aż do salwy egzekucyjnej w Barcelonie, gdzie w d. 13 listop. 1909 r. zginął Franciszek Ferrer, ofiara miłej *Słowu Polsk.* tolerancji hiszpańskich jezuitów.

Najbezwstydniejsze słowo polskie.

Jest nim — mamyż to uzasadniać? — lwowski organ demokracji narodowej. Właściwością tej partji jest gorliwa przesada, z jaką dystansuje wszyst-

kie wsteczne ośrodki. Jeśli tu w Królestwie organ p. Dmowskiego traktuje „realistów” jako prawe skrzydło postępu, to w Galicji pobratymcze *Słowo Polskie* furją zakusów reakcyjnych wprawia w podziw zachowawców z *Czasu* i antysemitów z *Głosu Narodu*.

W sprawie zajść na wszechnicach galicyjskich *Słowo Polskie* pospołu z *Kurjerem Warszawskim* — który zresztą rozpoczął ostrożny odwrót — tworzył skrajne skrzydło naganki. Jakiemi środkami prowadzona jest ta kampania, świadczą dwie autentyczne cytaty ze szpalt *Słowa Polskiego*.

„Demonstrancje przeciwko wykładom ks. Zimmermanna — pisano tam przed tygodniem — nie były samorzutnym odruchem młodzieży. Były one zorganizowane przez czynniki stojące poza uniwersytetem. Zdradził to mimowoli Daszyński, gdy w polemice z ks. Rzeszutką powiedział, że *odradzano sjonistom ze względów taktycznych, aby nie brali w demonstrancji tej udziału. Aranżerami więc awantury byli starsi doradcy blizko Daszyńskiego stojący*” (Podkr. nasze.)

Zatym *Słowo Polskie* upatruje nici przewodnie całego ruchu w rękach osób i kół, obnoszących rozgłośne hasło nieprzejednanej polskiej irredenty, od której truchleją c.-k. uszy narodowych demokratów z Galicji. Ci zatym ultra-patrjoci, w myśl zasady postępowego antysemityzmu, nie dopuścili „sjonistów” do udziału w ruchu, w którym żydzi żadnej nie grali roli.

Aliści w parę dni potym *Słowo Polskie* z nową występuje rewelacją. Oto „*wśród strajkujących akademików większość to sjoniści i Rusini* (przy próbie strejku we Lwowie). Ale tym razem wyjątkowo i sjoniści i Rusini śpiewali polskie pieśni patrjotyczne. W *planie* (?) *bowiem leży* właśnie stworzyć dowód, że nietylko ruscy, ale i polscy słuchacze nie uznają istniejącej organizacji uniwersytetu. *Jeśli uda im się to przeprowadzić* — będzie gotowe wtedy pole i dla sjońskich już awantur uniwersyteckich.” (Podkr. nasze.)

Z rąk ultra — patrjotycznej polskiej irredenty przekłada *Słowo Polskie* dowództwo nad ruchem w ręce żydowsko-rusińskiej koterji, przypisując jej jakoweś chytre i złożone „plany”. Sjoniści i Rusini są tak szatańsko przebiegli, że wyuczyli się *ad hoc* polskich pieśni patrjotycznych, by cały świat oszukać, ale reporterów endeckich nie zdołali wyprowadzić w pole. Owi dzielni i tędzy Polacy z oficyn lwowskiego organu wykazali podobną przenikliwość, jak ów pielgrzym włoski, który całując stopę papieża Piusa IX-go nagle zerwał się z kolan z okrzykiem:— *E ebreo*! (To żyd!)

Istotnie, jeśli znalazł się żyd, co umiał udawać papieża Piusa IX-go, aby świat oszukać, dlaczegoż by lwowscy sjoniści w tym samym celu nie mieli udawać gorliwych patrjotów polskich? Niewątpliwie skutkiem tego manewru, wśród 4000 polskiej młodzieży akademickiej we Lwowie znalazło się tylko 236 prawdziwych Polaków, opatrzonych pieczęcią N. D i gotowych raz jeszcze obrzucić stęchłemi jajami namiestnika d-ra Bobrzyńskiego, co im ujdzie zupełnie bezkarnie...

Czyż mamy dodawać, że te wszystkie dywagacje lwowskiego pisma spotkały się z poklaskiem *Gazety Warszawskiej*, która pośpieszyła *najbezwstydniejsze słowo polskie* otrąbić na miejscu naczelnym?

Bylibyśmy zresztą zdumieni, gdyby na ziemiach polskich zaszedł jakikolwiek fakt politycznego ludożerstwa i nie odbił się natychmiast sympatycznym echem na łamach warszawskiego organu endecji.

Dobra myśl.

P. Chołoniewski w jednym z ostatnich Nr. Nr. *Świata*, opisując swój pobyt wśród „gburów” (zamożnych włościan) zachodnio-pruskich, rzuca niezmiernie trafną myśl. Posłuchajmy p. Chołoniewskiego:

„Gbur pruski, wzbiwszy się na wyższy szczebel kultury, nieuchronnie spotyka się z niemczyzną. Chroni go od niej rolniczy, a więc przeważnie domowy tryb życia, lecz ochrona ta jest jednoznaczna z zatamowaniem wszelkiego dopływu potrzeb duchowych wyższego rzędu.. O kilkanaście godzin drogi stąd leży wytyczna dla zachodnio - pruskiego chłopa — Warszawa. Ze zwierzeń jednego z najgorliwszych działaczy na polskim Pomorzu wiemy, że pierwszy raz uderzyło w nim serce polaka pod warszawskim pomnikiem Mickiewicza i na widok wielkiego polskiego miasta, którego nigdy w życiu nie oglądał”.

W dalszym ciągu p. Chołoniewski pisze, że brak środków nie stanie na przeszkodzie zawiązaniu stosunków pomiędzy włościaństwem zachodnio-pruskim, a Warszawą, gdyż włościaństwo to jest zamożne. „Warszawa powinna stać się tym dla Prus Królewskich, czym od wielu lat jest Kraków dla Szlązka” — kończy p. Chołoniewski.

Myśl p. Chołoniewskiego uznać trzeba za niezwykle doniosłą. Już prawie utraciliśmy blizko pół miljona Mazurów wschodnio-pruskich, o 4 godziny koleją od Warszawy, bo nigdy nikomu z nas nie chciało się do nich jechać. Teraz niebezpieczeństwo germanizacji grozi miljonowej masie polskiej, rozsianej pomiędzy Toruniem, a Gdańskiem, na wybrzeżu Wisły.

Jedźmy więc do nich, przekonajmy, że Warszawa, jej piśmiennictwo, jej książki, jej wydawnictwa dają dostęp do tej wyższej kultury, o którą im chodzi. Sprowadźmy ich gromadnie do Warszawy. Niechże zobaczą, oni, którzy widzieli tylko niemieckie miasta, nareszcie i polskie miasto! Niechże się nie czują odosobnieni i zapomniani.

Dżuma czy cholera?

Ten miły dylemat stanowi dziś głębokie ciemne tło życia naszego, jak w obrazach Rembrandta. Niebawem będziemy mieli możność wyboru, stosownie do gustu, jeśli nadal sfery miarodajne zachowywać będą filozoficzny spokój stoicyzmu w myśl zapewne tołstojowskiej zasady „niesprzeciwiania się złu”.

Między cholerą i dżumą wybór jest dość trudny; piszący te słowa wolałby nie mieć wcale do czynienia z tymi wschodnimi bakcylami, ale to rzecz osobistego gustu.

O postępach dżumy na Dalekim Wschodzie przynoszą pisma szczegóły nieraz drastyczne; podobnej kośby nie widziano od czasów głębokiego średniowiecza, kiedy wymierały całe miasta, kraje, narody, w nastroju zresztą wcale uroczystym, wśród bicia dzwonów i pieśń modlitewnych.

Takich nastrojów Europa dzisiejsza nie lubi. Wobec wschodniego niebezpieczeństwa — tym razem jest ono rzeczywiste — poczęto bić na alarm; ostatnio, na skutek interpelacji, rząd belgijski polecił dezynfekować wagony, przybywające z Rosji. Nikczemna burżuazja zgniłego Zachodu dba o swoją skórę.

Takie tchórzostwo budzi tu zrozumiały niesmak i odrazę. Wschodnie przysłowie powiada: „*Boh nie wydast — swinja nie sjest*”. I właśnie dlatego, że Warszawa jest ostatnim ważnym punktem kolei rosyjskich, dokąd dochodzą bezpośrednio wagony ładowane w Manżurji — nie podjęto żadnych środków bezpieczeństwa. W Charbinie i Warszawie widzimy równy sceptycyzm wobec profilaktyki lekarskiej, to też nie pozostaje nam nic innego, jak z chińskim fatalizmem czekać na przybycie czarnej śmierci.

Zresztą, ludzie tchórzliwi na sposób europejski, mogą się bronić na własną rękę, wyrzekłszy się mianowicie produktów, podejrzanych o wschodnie pochodzenie, a więc, w pierwszym rzędzie, herbaty i ryżu. Któż bowiem zaręczy, że towary, ładowane w jakimś Fudziadzianie lub Cycykarze, nie przeszły przez ręce

zadżumione? Te produkty można z łatwością zastąpić importem angielskim z Cejlonu lub holenderskim z Jawy. Bardzo być może, że taki bojkot skłoni potężne firmy kupieckie do zaprowadzenia dezynfekcji we własnym interesie, — wbrew narodowej zasadzie nie sprzeciwiania się złu.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Sprawa zajść na Wszechnicy Krakowskiej przepełnia całą prasę zgiełkiem namiętnych sporów, przyczym bojowe nieprzejednanie pism klerykalnych i wstecznych rażąco odbija od zdania bezstronnej opinji, która w dalszym ciągu stoi po stronie młodzieży dotkniętej do żywego obłudnym i bezwzględnym postępowaniem senatu. Nawet *Kurjer Warszawski*, który nie mogąc w r. z. doprowadzić do skutku pielgrzymki swoich abonentów na Jasną Górę, chciał teraz za wszelką cenę powieść młodzież postępową do klerykalnej Kanossy, nawet i on zatrąbił do odwrotu, snując ostrożne i zawiłe wywody tej treści:

> Bądź co bądź uwzględnić należy właściwy każdej młodzieży brak zastanowienia, jej uległość dla wpływów radykalnych agitatorów, którzy w tym przypadku główną winę ponoszą, a wreszcie i fakt, że istotnie nominacja ks. Zimmermanna, człowieka może najlepszej woli, ale bez odpowiednich kwalifikacji naukowych do stanowiska tak wysokiego, jak katedra profesorska, miała wszystkie pozory prowokacji.

Natomiast warszawskie *Słowo* — ów, zdaniem p. Dmowskiego, organ „prawego skrzydła postępu" — uderza w ton bardzo namiętnej demagogji, — która go tak razi u innych — a to z powodu, że poszkodowana młodzież krakowska przeniosła sprawę „na obce forum", t. j. do klubów demokratycznych i wolnomyślnych wiedeńskich. Na szpaltach organu stronnictwa, które całą rację swego bytu *oparło na przedpokojowych zabiegach na obcym forum*, woła niejaki p. Civis ze sztucznym, a więc fałszywym patosem:

> Jakich podszeptów było trzeba, aby z jednej strony podżegnąć młodzież polską przeciw polskiemu uniwersytetowi, a z drugiej pchnąć ją do przedpokoi parlamentarnych, gdzie miała liberałów, socjalistów i demagogów „bez różnicy narodowości" prosić o odsiecz w walce z senatem Wszechnicy Jagiellońskiej? Na kartach naszej kultury niestarcie zapisze się dzień, wktórym cząstka młodzieży polskiej wzywała na pomoc przeciw Uniwersytetowi Jagiellońskiemu przedstawicieli tych samych narodów, które tak niedawno chyliły czoło przed majestatem krakowskiej wszechnicy, w półtysiączną rocznicę jej istnienia.

Wolno p. Civisowi widzieć źródło owych „podszeptów" w kołach rusińskich, jak chce *Słowo Polskie*, żydowskich, jak twierdzi *Głos Narodu*, lub w lożach masonów pruskich, zgodnie z odkryciem *Przeglądu Katolickiego*. Wypadałoby nawet, by się ci wszyscy oskarżyciele w tak rozbieżnych swoich zdaniach porozumieli i zgodzili na jedno. Co się zaś tyczy „kart naszej kultury", to sądzić należy, że wbrew przepowiedni p. Civisa, zapisze się na nich „niestarcie" ten dzień, kiedy garść dzielnej i ofiarnej młodzieży, dla idei narodowej wyrzekłszy się łatwego życia i łatwej karjery tu, w Królestwie,— stanęła do boju o wiedzę niezależną i honor Wszechnicy Jagiellońskiej, mając przeciw sobie potężne bractwa krajowe, sprzęgnięte ściśle z klerykalnym rządem austryjackim.

I jeszcze zapisze się niestarcie — ale czarnymi zgłoskami — ten niesłychany fakt, że grono profesorów wezwało siłę zbrojną, by studentów wyrugować z gmachu *Collegii Novi* i że w następstwie Koło polskie interpelowało we Wiedniu, żaląc się na opieszałość i zbytnią łagodność c.-k. władz policyjnych wobec polskiej młodzieży i wobec własnych swoich kolegów, posłów Daszyńskiego i Grossa. Takie rzeczy istotnie rzadko widzieć można w środowisku największej nawet zgnilizny moralnej; w Polsce tego dotychczas nie widziano.

* Pewna część prasy klerykalnej i wstecznej zamyka umyślnie oczy na te szpetne zabiegi ojców narodu u władz centralnych, obruszając się natomiast całym ciężarem tuczonej obłudy na delegację młodzieży do Wiednia. Narodowo-demokratyczny *Kurjer Poznański* czepia się skwapliwie tego pretekstu, by żądać od Senatu najsurowszych represji:

> W takich warunkach nie można od senatu wymagać żadnej ustępliwości wobec strajkujących, lecz przeciwnie senat powinien stać nieugięcie na straży autorytetu i samoistności wszechnicy jagiellońskiej wobec żywiołów przeciwnarodowych, podkopujących powagę uniwersyteckich władz polskich oraz samodzielności stanowienia czynników polskich w sprawach własnych.

Ze swej znów strony prześwietny Senat, jakby na to czekając, ogłosił nowe śledztwo dyscyplinarne, idąc w tym znacznie dalej, niż to zalecił klerykalny minister oświaty Stürgkh, w swej deklaracji. Oczywiście, sytuacja pogorszyła się przez to i zachodzą obawy nowych zaburzeń, mimo że młodzież wolnomyślna, pełna najlepszych chęci, na wiecu w sali Kleina d. 10 b. m. uchwaliła konieczność przywrócenia normalnego biegu rzeczy na uniwersytecie. Okazuje się, że Senat Wszechnicy Jagiellońskiej postanowił za wszelką cenę pozbyć się kilkuset studentów, głównie Królewiaków, i w tym celu używa świadomie *środków prowokacyjnych*, co nawet w redakcji *Kurjera Warszawskiego* nareszcie zauważono i wytknięto.

Demokratyczna *Nowa Reforma*, która w całym zajściu zajmowała postawę humanitarną i przyzwoitą, tymi słowy ocenia obecny stan rzeczy:

> Odpowiedź ministra Stürgkha na interpelację w sprawie zajść w uniwersytecie jagiellońskim, wygłoszona wczoraj w parlamencie austryjackim, wywołuje wrażenie deprymujące. Gdy w mieście ze wszystkich stron podjęto starania, aby uspokoić umysły młodzieży i życzliwie usposobić dla niej władzę uniwersytecką; gdy w radzie miejskiej dano wyraz zgodnego na całą sprawę zapatrywania: gdy wreszcie usiłowania te w pomyślny sposób oddziaływać zaczęły na sytuację, wpada nagle mowa ministra oświaty i na całą pacyfikacyjną robotę oddziaływa w sposób rozsadzający.

Natomiast *Czas* zawiadamia, że odpowiedź ministra „zadowoliła najzupełniej wszystkie frakcje Koła Polskiego", bowiem:

> Hr. Stürgkh stanął we wczorajszej swej odpowiedzi na interpelację Koła polskiego w sprawie zajść na uniwersytecie jagiellońskim, na wysokości swego zadania. Wolność nauki znalazła w hr. Stürgkhu rzeczywistego obrońcę. (!) Zamknął usta niesumiennej agitacji. Jego autorytatywne słowo powinno zaważyć na dalszej kolei rzeczy.

W ten sposób oto, w zatargu między młodzieżą polską a senatem rozstrzyga, ku radości naszych Tartufów, „autorytatywne słowo" ministra. Trudno zaiste o wspanialszy pomnik hańby, niż ten, który w krótkim bardzo czasie, w ciągu zajść uniwersyteckich, zdążyły sobie wystawić rządzące w Galicji sfery.

* Komentując rozłam wśród marjawitów *Kurjer Poranny* czyni następujące uwagi, niepozbawione subtelnej i trafnej ironji:

> Renesans średniowiecza w Polsce, nad którego sprowadzeniem w zgodnym chórze pracują politycy, dziennikarze, literaci, nawet najbardziej intektualnie rozwinięci, dochodzi bądź co bądź do orgji tryumfu w ciemnym tłumie, oddanym na bezkarny żer wszelkiego rodzaju teokratycznym intrygom. Jesteśmy w dwudziestym wieku świadkami dalszego ciągu fabrykowania w Królestwie Polskim żywych

świętych niewiast, obcujących bezpośrednio z Bogiem. Panna Cychlar doświadczyła na sobie tylko tego, że w Kraju Prywiślińskim tego rodzaju „świdanja" są wprawdzie dopuszczalne, ale tylko za zezwoleniem zwierzchności...

* *Dziennik Powszechny* zatroskał się mocno o losy Anglji, gdzie, jak wiadomo, wolnomularstwo bardzo wpływowe i liczne, cieszy się ogólnym poważaniem pod egidą rodziny królewskiej.

Przypomina to czasy, poprzedzające wielką rewolucję francuską; wszyscy wyżsi dygnitarze państwowi i wszystkie światlejsze umysły były członkami lóż masońskich, które, aby bezpieczniej i spokojniej przygotowywać ruch rewolucyjny, udawały wielkie przywiązanie do tradycji i były zachowawczo-liberalnymi.

Pojmujemy doskonale, że ks. prałat J. Gnatowski w *Przeglądzie Katolickim* odkrywa z łatwością udział „masonów pruskich" w krakowskim ruchu antyklerykalnym; ale żeby posądzić króla angielskiego o udział w spiskach rewolucyjnych, które mają wszystko „obalić i zniszczyć" — nie, tego jeszcze nie było! powiedziałby sam Ben-Akiba. Ale też po głowach warszawskich katolickich pisarzy snują się myśli, o jakich nie śniło się filozofom.

Z prasy zagranicznej.

* Pisma wiedeńskie pilnie śledzą przebieg zaburzeń krakowskich. Zdania są podzielone, przyczyn oczywiście najczarniejsza reakcja uderza w ton zgodny z nastrojem naszych kurjerków. Klerykalna *Reichspost* dorównywa im nawet, jak świadczy następujący wyimek:

Rewolucyjny atak anarchistyczny (sic!), wykonany na krakowską „Alma Mater", miał na celu stworzyć szkołę jakobinów (!), utrzymywaną za pieniądze państwowe. Do tego ministerjum nie chce dopuścić. To, co się dzieje obecnie w Krakowie, sprzeciwia się wszelkim prawidłom porządku. To jest tryumfem tych sił, które chciały uniwersytety naszego wschodu (sic!) wydać owemu „milieu" rosyjskiemu, czyniącemu z uniwersytetów ogniska rewolucji. Każdy przyjaciel kultury zachodniej musi przeciwdziałać temu wszelkimi środkami, celem przywrócenia porządku w Krakowie.

Natomiast *N. Fr. Presse* stając po stronie wolności myśli i przy sposobności odsłania niektóre zakulisowe szczegóły instalacji ks. Zimmermanna w Krakowie o czym nasze pobożne gazety milczą oględnie.

Oto co stwierdza organ liberałów wiedeńskich:

Minister oświaty hr. Stürgkh jest bojownikiem reakcji i klerykalizmu w Austrji. Dlatego to hr. Stürgkh ujął się za ks. Zimmermannem i wystąpił w sposób wprost niezwykły przeciw studentom. Twierdzenie hr. Stürgkha, że nie miał on żadnego udziału w powołaniu ks. Zimmermanna na profesora, i że ta katedra socjologji w uniwersytecie krakowskim została niejako przypadkiem utworzona, jest nieprawdziwe. Przypominamy mowę hr. Stürgkha z r. 1909, wygłoszoną w komisji budżetowej, w której on wyraźnie zapowiedział, że rząd zwróci większą uwagę na socjologję chrześcijańską i ewentualnie już w roku 1910 przystąpi do utworzenia tej katedry w uniwersytecie krakowskim. Wynika stąd zatym, że studenci krakowscy, słusznym instynktem wiedzeni, odczuli, że idzie tu o planowe postępowanie, mające na celu klerykalizację uniwersytetu. Utworzenie katedry dla ks. Zimmermanna było pierwszym punktem klerykalnego programu hr. Stürgkha.

Interpelacja Koła Polskiego nasuwa liberalnej gazecie następujące uwagi:

Minister oświaty objawił swoją miłość i życzliwość dla „klejnotu narodu polskiego", jak nazwał uniwersytet krakowski, przez to, że żądał nowych śledztw dyscyplinarnych i wydaje studentów prokuratorji.

Co Koło polskie i zastępy Krakowa i Lwowa o tej sprawie myślą? W każdym razie spadnie na nich wielka odpowiedzialność, jeżeli wzburzenie w Krakowie przybierze większe rozmiary. Rzeczą Koła polskiego jest dać teraz odpowiedź ministrowi oświaty i ustrzec Galicję przed wybuchem nowych walk.

Hr. Stürgkh zażądał kar i polityki silnej ręki wobec studentów krakowskich. Koło polskie musi żądać łagodności i pojednawczości.

Jak widzimy, *N. Fr. Presse* myli się mocno co do intencji Koła. Wraz z nią omyliła się zresztą ta część opinji, która miała jeszcze zaufanie do rozumu i taktu galicyjskich mężów stanu.

Związek Równouprawnienia Kobiet Polskich.

Z. R. K. P. nadesłał nam z prośbą o zamieszczenie poniższą odezwę:

Do społeczeństwa.

Kobietom polskim dwukrotnie już rodacy wyrządzili krzywdę, pomijając ich prawa wyborcze, w t. zw. Obywatelskim projekcie samorządu Królestwa Polskiego i w projekcie autonomji Królestwa. Obecnie sprawa samorządu jest rozpatrywaną z różnych stanowisk, przez stowarzyszenia i prasę, ale o prawach kobiet znowu nikt nie wspomina — prócz zrzeszeń kobiecych.

Aby więc zapobiedz w przyszłości podobnej krzywdzie po raz trzeci, Związek zwraca się do prasy wszystkich obozów i stowarzyszeń o różnych zdaniach z wezwaniem do podjęcia dyskusji nad prawami kobiet w samorządzie Królestwa Polskiego i do wypowiadania swego względem nich stanowiska.

Dyskusji publicznej nad tą doniosłą sprawą społeczną, Związek domaga się w imię zasadniczego prawa kobiet do równości obywatelskiej.

Równouprawnienie kobiet w samorządzie — to akt sprawiedliwości względem połowy narodu.

Przedstawicielką świadomą potrzeb kobiet może być tylko kobieta, tym bardziej, że macierzyństwo i wiekowa podległość wytworzyły kobietom odrębne stanowisko w społeczeństwie, a stąd i specjalne interesy i odczuwania.

My, Polki, domagamy się praw w imię naszych tradycji narodowych, możemy bowiem powołać się na przeszłość, z której liczne akty grodzkie przechowują dowody: jak umiejętnie prababki nasze wpływały na rozkwit miast od nich zależnych, zakładając szkoły, szpitale, schroniska, organizując dozory zdrowotne, regulując wymiar sprawiedliwości. W roku 1808 Izba Edukacyjna oddała żeńskie szkoły w Warszawie pod zawiadywanie rady nadzorczej z kobiet złożonej, która opracowała dla tych szkół nowy program — więc dokonała czynności ustawodawczej. W roku 1829 Tańska Hofmanowa powołaną też była na pierwszą wizytatorkę szkół żeńskich. Te fakty historyczne świadczą, że naród odczuwał i uznał wówczas pożytek współdziałania kobiet w gospodarce społecznej.

Związek domaga się rozpatrzenia sprawy i ze względu na stwierdzony już pożytek uzupełniając działalności równouprawnionych kobiet. Albowiem, na żądanie różnych państw potwierdzają ten pożytek orzeczenia wielu mężów stanu: Bartona, Seddona, Foulds'a, Stouta. Russell'a i innych, jak również i opinie parlamentów Stanów Amerykańskich i Nowej Zelandji. Kobiety, cierpiąc najwięcej przez zaniedbanie potrzeb i czynników życia, które mężczyźni przeoczają, lub lekceważą, te potrzeby właśnie najgłębiej rozumieją i stając na ich straży, rozwijają w gospodarce społecznej działalność, która pracę ogólną wszechstronniejszą czyni.

Powszechny zaś rozwój tej reformy wykazuje, że równoprawny udział kobiet w samorządzie jest koniecznością ewolucji społecznej dzisiejszej doby.

Pełne prawa wyborcze kobiety otrzymały w Stanach Zjednoczonych Ameryki, w Federacji Stanów Australji, w Norwegji, Anglji, Szwecyi, Danji. We Francyji komi-

sja parlamentarna, we Włoszech rządowa, opracowują projekty nadania kobietom praw w samorządzie. Obradują nad tą sprawą kantony szwajcarskie, obraduje Gacja i inne kraje monarchji austrjackiej, poszczególne państwa niemieckie i miasta posiadające własne statuty, jak np. Lwów i Kraków. W Holandji i Bulgarji różne partje polityczne wypowiadają się za równouprawnieniem kobiet.

Związek żąda tedy dyskusji publicznej o udziale kobiet w samorządzie, bo jest ona niezbędną, dla zapoznania ze sprawą szerszych kół społecznych i przygotowania opinji, by nieuświadomienie jej nie stało się w przyszłości nowym hamulcem ogólnego rozwoju.

Izby prawodawcze uchwalają prawa, które zostały uznane przez — sumienie społeczne!

Wzajemny obrachunek sił będzie także ważnym krokiem naprzód w dążeniach ku urzeczywistnieniu wskazania Mickiewicza:

Kobiecie-Towarzyszce — równe prawa!

KRONIKA.

PAWEŁ SINGER. W ubiegłym tygodniu zmarł jeden z najwybitniejszych przodowników socjalizmu niemieckiego Paweł Singer, który obok Liebknechta i Bebla położył nieocenione zasługi dla rozwoju stronnictwa.

Zmarły nie odznaczał się tak wysokimi zdolnościami umysłowymi, jakie posiadali dwaj wymienieni jego towarzysze. Miał natomiast większą od nich zdolność pojmowania rzeczywistych warunków życia i zręcznie umiał stosować się do nich w ważnych chwilach, gdy chodziło o zachowanie pozorów jednolitości całej organizacji, która od lat wielu wystawiona jest na ciężkie próby.

Niepospolitą zasługą Singera pozostanie to, iż swoim darem negocjowania zdołał zawsze przeprowadzić uchwały jaknajmniej odbiegające od uświęconych zasad, na których stronnictwo socjalistyczne wzrosło i rozwinęło się do dzisiejszego znaczenia. Singer był również zręcznym parlamentarzystą, umiał skupić około swej tezy rozmaite grupy opozycji, co mu zapewniało często korzyści w utarczkach z rządem, naprzykład przy rozprawach nad taryfami celnymi.

Czynny i niezmordowany w pracy nad interesami stronnictwa, Singer był zarazem hojną podporą jego finansów, jako właściciel znacznego przedsiębiorstwa handlowego, które w końcu przekazał swoim towarzyszom.

Podobnie jak przywódca socjalistów belgijskich, Vandervelde, Singer przedstawiał wyjątkowy okaz osobistości, należącej z pochodzenia i z majątku do zamożniejszych sfer mieszczańskich w obozie socjalistycznym. W Niemczech jego aspiracje polityczne i reformatorskie nie znalazły dla siebie innej drogi do wyrażenia się na zewnątrz, jak tylko w szczerej organizacji socjalistycznej. W innym kraju Singer prawdopodobnie zostałby stronnikiem jakiejś postępowej grupy burżuazyjnej, tymczasem w ojczyźnie jego sytuacja i charakter stronnictw postępowych nie wzbudzały w nim zaufania i skłoniły do oddania się duszą i ciałem zadaniom socjalizmu.

Z UNIWERSYTETU. W sobotę, dn. 11 b. m. o g. 12-ej w południe w przedsieniu uniwersytetu zebrał się tłum w liczbie około 700 studentów, który zapełnił całe podsienie, korytarze i schody. Wiec uchwalił rezolucję, obejmującą, oprócz zwykłych żądań studenckich, jeszcze żądania charakteru specjalnie miejscowego, a mianowicie otwarcie uniwersytetu polskiego w Warszawie, swobodnego przechodzenia studentów uniwersytetu warszawskiego na uniwersytety w Cesarstwie, swobodnego przyjmowania seminarzystów do wszystkich wyższych nie specjalnych zakładów naukowych i wreszcie zniesienia normy procentowej dla żydów. Wiec uchwalił strejk do końca roku naukowego, poczym uczestnicy jego rozeszli się spokojnie do domów bez interwencji administracji i policji. Część studentów odmówiła przyłączenia się do strejku i wydała odezwę, nawołującą do nieprzerywania zajęć.

NOWA GAŁĄŹ PRZEMYSŁU. Ma powstać u nas wkrótce pierwsza fabryka jedwabiu sztucznego. Produkt jest już znany na naszych rynkach, gdyż pomimo wysokiego cła cena jego o 5 proc. jest niższa od ceny zwykłego. Miękkością i połyskiem dorównywa mu podobno a ma być mocniejszy i trwalszy.

W Boryszewie pod Sochaczewem zakupiono już dwie włóki pod tę fabrykę, której budowa ma być rozpoczęta z wiosną. Przedsiębiorstwo jest w rękach kapitalistów miejscowych i belgijskich, którzy utworzyli towarzystwo akcyjne z siedliskiem prawnym w Brukselli, lecz uzyskali już pozwolenie zakładania fabryk, agencji i reprezentacji w naszym kraju. Fabryka sochaczewska zamierza wyrabiać na początek 600 kil. jedwabiu dziennie; w miarę rozwijania się zbytu, będzie produkcję powiększać.

OKÓLNIK O KINEMATOGRAFACH. Ministerjum spraw wewnętrznych wydało specjalny okólnik w sprawie obrazów, demostrowanych w kinematografach. Zabroniono wystawiać obrazy, które mogą naruszyć spokój publiczny, obrazić uczucia religijne, patryjotyczne i narodowe. Zabroniono również demonstrować epizody z ostatnich wypadków w Lizbonie, obrazy, mogące obrazić honor armji rosyjskiej, sceny z życia duchowieństwa, obrazy, przedstawiające karykatury na tematy polityczne lub karykatury przedstawicieli rządu.

HOJNA OFIARA. Mamy do zanotowania piękny czyn obywatelski. Oto p. Marja Roeslerowa ofiarowała dom swój przy ul. Chłodnej Nr. 924 i kapitał 115,000 rb. na otwarcie szkoły ludowej męskiej z polskim językiem wykładowym.

Stosownio do warunków darowizny nosić ona będzie nazwę: „Fundacja szkolna im. Józefa i Marji Roeslerów".

KARY PRASOWE: Z rozporządzenia władz administracyjnych skazano redakcję *Przełomu* na karę 200 rubli za artykuł p. t. *Pauzy*, zamieszczony w Nr. 1 ym tego pisma.

„SZTUKA". Od marca r. b. zacznie wychodzić w Warszawie miesięcznik, poświęcony twórczości literackiej i artystycznej pod redakcją Henryka Juszkiewicza przy udziale Franciszka Siedleckiego (sztuki plastyczne i teatr), Alfonsa Gravier'a (Architektura), Jana Rundbakena i Aleksandra Szczęsnego (Literatura), Karola Szymanowskiego (Muzyka). Wydanie *Sztuki* na welinie rocznie kosztować będzie z przesyłką rb. 12. Wydanie zwyczajne rocznie rb. 6. Adres redakcji i administracji: Hortensja 3.

Książki nadesłane do Redakcji:

Janina Przecławska: „O Jadwidze Królowej" Poemat dawnych dni. Warszawa, 1911. Nakładem St. Sadowskiego, str. 52.

Apuleusz: „Bajka o Amorze i Psyche" — przełożył z oryginału łacińskiego, słowem wstępnym i przypisami opatrzył Józef Jankowski. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni St. Sadowskiego, str. 97.

Adam Grzymała Siedlecki: „Galerja moich bliźnich" — nowele i fraszki. Kraków, 1911. Nakładem księgarni S. A. Krzyżanowskiego, Warszawa, E. Wende i Ska, str. 238.

Dr. E. Kiernik: „Życie w nurtach oceanu", z 1 tablicą i 33 rycinami w tekście. Kraków, 1910. Skład gł. L. Frommer. Str. 186.

Marja Czaplicka: „Olek Niedziela", wydawnictwo St. Sadowskiego. Warszawa. Powieść dla młodzieży z rysunkami Zofji Plewińskiej. 1911, str. 124.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.